CENA 1.20

PODRÓŻE - NAUKA - PRZYGODY

MÓJ PRZYJACIEL

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



wrzesień-październik

WARSZAWA

ROK V 1928 № 9-10

KOMUNIKAT.

Wkrótce wyjdą z druku

Skróty GEOGRAFJI

w zakresie szkoły średniej.

Od dłuższego czasu daje się odczuć brak skrótu geografji, któryby w sposób rzeczowy i gruntowny, a zarazem szybki zapoznał ucznia z tą nauką. Brakowi temu nie zdołały zaradzić istniejące skróty; w tym celu Wydawnictwo „Pomocy Szkolnej" wydaje „Skrót geografji" w 3 tomikach:

1. Wiadomości ogólne i lądy pozaeuropejskie
2. Europa
3. Polska

Zasadniczą cechą tych podręczników, ułatwiającą uczniowi zapamiętanie faktów geograficznych, jest symetryczne, odrębne uporządkowanie materjału w określony schemat klasyfikacyjny. Scala on ogół faktów w poszczególne ogniska. Np. czytelnik pod rubryką „rzeki Europy" otrzymuje zupełny obraz wód tego lądu, nie będąc zmuszonym składać go z rozdziałów o poszczególnych krainach. Dzięki temu podręcznik nadaje się również dla samouków. Taki system wymaga oczywiście ciągłego kontaktu z mapą, a więc spełnia zasadniczy warunek pedagogiczny geografji Na końcu znajduje się skorowidz alfabetyczny nazw i terminów geograficznych, który pozwala czytelnikowi szybko poinformować się w nieznanym lub zapomnianym szczególe. Należy dodać, iż podręcznik jest ściśle dostosowany do programu gimnazjów państwowych.

Wydawnictwo
„POMOC SZKOLNA" H. Wajnera
Warszawa, Bielańska 5



Rok V. Warszawa, wrzesień-październik 1928 Nr. 9-10.

Czem będę w życiu?

W POLSKIEJ PORADNI DLA WYBORU ZAWODU W CHICAGO.

O ile w Polsce sprawa wyboru odpowiedniego zawodu dla syna, który ukończył szkołę ogólnokształcącą, pozostawiona jest wyłącznie niczem nie skrępowanej woli rodziców, o tyle w Ameryce od każdego kandydata do tego lub innego zawodu wymagane jest przedewszystkiem zezwolenie lekarza, ustalającego zdolność do wykonywania odpowiedniej pracy i zaświadczenie specjalnej poradni, stwierdzające skłonność i zdolności kandydata specjalnie do danego fachu. W każdem mieście amerykańskiem istnieją specjalne poradnie dla wyboru zawodu, do których się musi zwrócić każdy uczeń, który nie ma zamiaru lub możności kształcić się dalej i zamierza poświęcić się pracy zarobkowej. W większych miastach urządzone są nawet specjalne poradnie dla dzieci różnych narodowości: tak naprz. w Chicago narówni z ogólnoamerykańskiemi istnieją specjalne poradnie dla dzieci Polaków i Niemców. Przychodnie te cieszą się ogromną popularnością: żadna matka polska nie odda syna w naukę do rzemieślnika, lub do zakładów przemysłowych, nie zaciągnąwszy uprzednio opinji „pana lekarza“ i „pana radcy“. Poradnie te mają do czynienia przew żnie z dziećmi robotników i rzemieślników, które bezpośrednio po ukończeniu szkoły przechodzą do pracy zarobkowej. Dla kończących gimnazja i uniwersytety istnieją specjalne poradnie, gdzie się bada zdolności abiturjentów przy zastosowaniu najnowszych metod naukowych, zapomocą licznych przyrządów, skonstruowanych według ostatniego słowa techniki.

Ale przypatrzmy się bliżej przychodniom pierwszego rodzaju, przez które przechodzi główna masa kandydatów do zawodów nieumysłowych. Jak ona wygląda? Jakie metody pracy stosuje?

Oficjalna nazwa brzmi: „poradnia dla wyboru zawodu“. Długa kolejka matek oczekująca w przedpokoju, gawędzi wesoło, i widocznie jest w lepszych humorach, niż ich „chłopaki“ i „dziewczyny“, którzy mają takie miny, jakby siedzieli w poczekalni dentysty.

Jest to zupełnie zrozumiałe. Przecież tu rozstrzygają się losy nie „dorosłych“ a właśnie „małych“. Przed dwoma tygodniami chodzili oni jeszcze do szkoły, a teraz mu zą wystąpić, — jak uroczyście i nieco mgliście zapowiedział im inspektor na szkolnym akcie, — „na szeroką arenę życia“.

Dla olbrzymiej większości ta arena życia będzie oczywiście tylko nauką u krawca lub w zakładach fabrycz-

nych. Można również obrać sobie ślusarstwo, murarstwo, pójść na naukę do zegarmistrza, albo do sklepu. Pan radca nikomu nie narzuca zawodu, przeciwnie, stara się rozpytać, jaki fach komu najwięcej się podoba, i do czego się ma specjalne zamiłowanie. Ot naprzykład, pulchny i rumiany chłopak o pysznych, starannie uczesanych włosach, który właśnie w tej chwili wychodzi z uśmiechem zmieszania na twarzy z pokoju pana radcy, został przeznaczony przezeń do zawodu, do którego zawsze poczuwał pociąg wewnetrzny.

— I tak to wszystko prędko, moi państwo, — z ożywieniem opowiada rozradowana matka, — tylko pan radca spojrzał, i mówi odrazu: chłopak pani pójdzie na fryzjera, to w sam raz dla niego będzie!

Matka i uśmiechnięty chłopak nie wiedzą wcale o tem, że pan radca oddawna już się nauczył czytać w twarzach dzieci jak w otwartej księdze, i że chłopców, odznaczających się niezwykle starannem uczesaniem, przeznacza zawsze do zawodów fryzjera lub kelnera. W przytłaczającej większości wypadków pan radca trafia dobrze. Obydwa zawody są stosunkowo „lekkie" i w Ameryce bardzo intratne. W każdym razie wykluczonem jest, aby z malca o takiem uczesaniu wyszedł dobry monter, murarz lub ślusarz.

Do tych bardziej „męskich" fachów nadaje się inny typ kandydatów. Poznaje się go nie po włosach, lecz po odpowiedziach na niektóre zadane pytania. Najczęściej wystarcza jedno: „Ano, powiedz mi, czy masz w domu rower?" Bywa często, że chłopak odrazu zapomina o swem zmieszaniu, uśmiecha się i mówi głosem, w którym już przebijają nutki przyszłego basa: „Tak, ma się rozumieć, że mam, ale widzi pan, przekładnia się popsuła, teraz muszę ją naprawić, no i kierownicę też". Taka odpowiedź wystarcza, żeby upatrzyć chłopca na przyszłego kierowcę samochodowego, a jeżeli okaże się wyjątkowo zdolny, to i na lotnika. Są to najmilsi klijenci poradni, — ma z nimi najmniej kłopotu, bo oni sami wiedzą, czem chcą być w życiu.

Ale w większości wypadków „pan radca" konstatuje z nieprzyjemnem uczuciem, że i matkom i chłopakom jest właściwie obojętne, jaki zawód obrać. Zgadzają się na wszystko, co pan radca proponuje, —jest to bardzo zła oznaka. Oto stoi taki piętnastoletni chłopiec albo dziewczyna, ze skonfundowanym uśmiechem na ustach, albo przeciwnie, patrzy nic nie mówiącym nieruchomym wzrokiem przed siebie, na wszystkie pytania odpowiada pośpiesznie, — „tak panie radco", i ma widocznie jedyne pragnienie, jak najprędzej znaleźć się poza drzwiami poradni. Stać się krawcową, wyrabiać kapelusze lub rękawiczki, pójść na naukę do zegarmistrza albo do rzeźnika, — dla nich to właściwie nie robi różnicy. Są to najgorsi klienci poradni: są to ludzie którzy przez całe życie będą pracować bez zamiłowania, jakby wbrew własnej woli. Dziś będą się odnosić do swego zawodu obojętnie, jutro z nienawiścią. Z nich to właśnie wychodzą kiepscy krawcy, zegarmistrzowie, którzy reperują zegarek po trzy razy, poczem przestaje zupełnie chodzić, szewcy, którzy robią wszystkim buty „trochę za ciasno".

Dwudziestu, trzydziestu, niekiedy nawet pięćdziesięciu młodych ludzi czeka w przedpokoju na konferencję z „panem radcą". I nie trzeba być zbyt wnikliwym psychologiem, by przy pierwszem spojrzeniu wyróżnić śród tej masy kilku, którzy napewno osiągną swój cel w życiu, choćby nawet rozpoczęli pracę w najuboższych warsztatach przedmieść czykagoskich. I z taką samą łatwością poznaje się tych, którzy zda się przyszli na świat jedynie po to, by pomnożyć szeregi „wiecznie niezadowolonych", — ludzi, którzy nie znajdą swego miejsca w życiu.

Niektórzy „pacjenci" dają panu radcy dużo do myślenia. Oto naprzykład ta wysoka szesnastoletnia dziewczyna, która teraz stoi przed nim

z nadąsanym grymasem na ładnej twarzyczce. Przychodzi do niego nie po raz pierwszy. Pracowała już w zakładach mód, w fabryce kartonaży, —i nigdzie nie mogła się utrzymać. Teraz prosi o zakwalifikowanie jej na bonę, umie bowiem trochę po niemiecku, a więc posiada niezbędny warunek: konwersację cudzoziemską. Pan radca zastanawia się długo, namyśla się. Rozumie oczywiście, że w pojęciu dziewczyny praca bony sprowadza się do całodziennych spacerów z dziećmi po parku. Wreszcie pan radca pisze kartkę i oddaje dziewczynie. Ta dyga grzecznie i wychodzi rozradowana. Za chwilę przekona się ku swemu przerażeniu, że zakwalifikowano ją jako dozorczynię dzieci na wsi, gdzie będzie musiała brać udział w pracy domowej a nawet w ogrodzie.

Wychodząc z pokoju dziewczyna mierzy wyniosłem spojrzeniem grubiutką, rumianą i zdrową szesnastoletnią koleżankę, która też chce się poświęcić wychowaniu dzieci. — „Ach, — moja mała wprost przepada za dziećmi", — oświadcza z dumą matka, która przyszła z nią razem. Rzeczywiście, błyszczące jak dwie błękitne gwiazdy oczy „małej" wyrażają tyle niewinnej, prostodusznej, szczerej dobroci serca, że pan radca nawet się uśmiecha. Zdarza się to mu bardzo rzadko: obowiązki jego nie są tego rodzaju, by usposobić kogoś do zbytniej wesołości. Ale tym razem pan radca naprawdę się uśmiecha. — Dobrze, — odpowiada, — pani córka napewno nadaje się na wychowaczynię dzieci. Bogu dzięki, nareszcie choć jedna dziewczyna, która wie, czego chce.

Zdarzają się wypadki, kiedy chłopcy też wiedzą dobrze, czego chcą. Oto naprzykład, jeden z chłopców chce zostać... szewcem. Fach ten naogół jest nie bardzo lubiany. W dodatku lekarz orzekł, że chłopak jest za słaby na szewca: ma słabe płuca. Usłyszawszy taki wyrok, chłopiec zaczyna płakać. Okazuje się, że marzeniem jego życia jest zostać szewcem. Jakiś głos wewnętrzny mówi mu, że jego przeznaczeniem jest być wiernym rycerzem zelówek i obcasów. Pan radca zastanawia się jeszcze i przygląda się uważnie chłopcu.

— Zaproponuję ci coś innego, — mówi wreszcie. — Może sprobujemy



Młodzi kandydaci do zawodu lotnika odbywają praktykę na aerodromie.

lakiernictwo, albo popracujemy w zakładach do wyrobu porcelany, he? Co za korzyść będzie, jeżeli zostaniesz samodzielnym szewcem i będziesz musiał wyjechać gdzieś na prowincję. Zastanów się nad tem! Będziesz przez cały dzień siedział pochylony nad warsztatem, a po dwóch latach zaczniesz już kuleć...

W oczach chłopca znowu zaczynają się kręcić łzy. Pan radca ma w swym zawodzie wieloletetnią praktykę, ale po raz pierwszy zdarza mu się spotkać chłopca, który płacze z tego powodu, że nie może pójść na naukę do szewca. Pan radca zastanawia się przez chwilę i potem odsyła

chłopca zpowrotem do doktora, który przyjmuje w sąsiednim pokoju. Po upływie dziesięciu minut chłopak powraca, wymachując triumfująco kartką lekarską: jest to świadectwo, ustalające jego zdolność do pracy w zakładach szewskich. Widocznie doktór zna się nie tylko na powiększonych gruczołach, zapaleniach i słabych płucach. Przyjmuje pod uwagę również skłonności i zamiłowania swych pacjentów. A więc, chłopak zostanie szewcem. Tylko nie w olbrzymiem Chicago, lecz w warsztatach po za miastem, gdzie powietrze jest bardziej czyste, a letnią porą część pracy wykonywa się pod gołem niebem.

Następny młodzieniec, tęgi, o mocnej klatce piersiowej i muskularnych rękach pragnie się poświęcić delikatnemu zajęciu wyrabiania ciastek. Pan radca przecząco kiwa głową. Chłopak nie ma kwalifikacji do tego fachu; jest trochę za otyły by pracować w rozpalonej atmosferze pieców piekarskich. Chłopak wędruje do lekarza i przynosi kartkę. W rezultacie badania lekarskiego, zamiast ciastek mały tłuścioch będzie wyrabiał damskie torebki i portfele. Chłopiec zastanawia się na chwilę.

— Dobra, to też fach niczego sobie, — mówi wreszcie. Widać, że nie jest niezadowolony. Zmiarkował widocznie, że do portfeli chowa się pieniądze, a za pieniądze można sobie kupować ciastka, skoro już los nie pozwala ich wyrabiać.

— Następny, proszę! — woła pan radca, i notuje na karcie wizytacyjnej trzydziestego „pacjenta" i trzydziestą matkę, która zaraz zwróci się do niego z zapytaniem: „Proszę pana radcy, czem będzie mój chłopak w życiu?"

L. KRZEMIENIECKA-WOLICOWA.

Akwarele jesienne.

Deszcz swoje krągłe paciorki na tysiące nanizał nitek,
I porozwieszał je rzędem na jasnych kwadratach okien,
Pędził skośnemi rzutami z nieba na ziemię jak dżokiej,
W poszumie, poświście wichury ostrzył się, srebrzył, jak brzytew.

W pokoju, na oleodruku lato było w całej pełni.
Kłosy, jak szafran żółte, słońce przesadnie jaskrawe.
Żar się unosił z pieca, dostojnie, jak dym z kadzielnic,
I wnikał w długą, niezmienną deszczowych paciorków zabawę.

* * *

Mętnieją wsi akwarele, w odblaskach letniego wieczoru
Na niebie coraz więcej wydętych, szarych żagli-obłoków
Odpływa w dal, na horyzont, ku sinej kresce borów,
Wgarnia się niemoc kusząca gęstniejącego mroku.

Świat jest kopertą nieba i ziemi, dwukolorową,
A w kapliczce, zgubionej na rozstajnych progach
Jest naiwną farbą malowane Boże słowo,
I pękiem złocieni uczczona wielkość Boga.

Matka Boska gipsowa ma niebieski sztywny płaszcz,
I twarz gipsową, skąpaną w bolesnych cieniach.
Ktoś przyszedł, klęknął: „Zdrowaś, Ojcze nasz"
Wiara. Len włosów i błękit spojrzenia.

WACŁAW GÓRALSKI.

Expres „Błyskawica".

OPOWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

Moja misja.

Owego dnia nie miałem właściwie w redakcji żadnego interesu. Zaszedłem tam jednakże z przyzwyczajenia. Kierownik wydziału radjowego przyjął mnie z wersalską grzecznością:

— Potrzebny nam jesteś, panie Piołunkiewicz, a tymczasem djabli wiedzą, gdzie się podziewasz...

— Te istoty piekielne o których redaktor wspomina zaprowadziły mnie jednak koniec końców do szanownego pana o co chodzi? — odrzekłem bez znaków przestankowych.

— Krótko mówiąc: zostajesz pan wysłany w pewnej misji redakcyjnej do profesora Fiołogłowskiego, który bawi obecnie w Zakopanem. Natychmiast i nie wykręcać się sianem!

— Poco się wykręcać, kiedy misja bardzo ponętna? Ale czy Fiołogłowski jest naprawdę w Zakopanem?

— Przeprowadza tam jakieś eksperymenty radjowe. Polecam panu bezwzględną dyskrecję. Narazie nikomu ani słóweczka! Miejsce pobytu profesora znane jest ograniczonej tylko ilości osób...

— Rozkaz, panie kapitanie! Już pędzę po bilet!

— Bierz pan ze sobą, jak na kuracjusza przystało, cukierki mentolowe, aby nie zdradzić się ze swą misją i opuść Syreni Gród jeszcze dziś wieczorem. Jutro o 12 w południe wyślę uzupełniające informacje za pośrednictwem warszawskiej stacji nadawczej. O tej godzinie musisz pan bezwzględnie być w Zakopanem i odebrać me wiadomości. Korespondencje do pisma przesyłać telegraficznie, począwszy od jutra — rozmiar 150—200 wierszy.

Podczas przemówienia redaktora akumulowała się we mnie kolosalna energja. Zacząłem pałać pragnieniem ujrzenia tajemniczego Fiołogłowskiego wraz z jego niesamowitem laboratorjum, aby móc o tem napisać z tuzin sensacyjnych i wściekle ciekawych artykułów... To też zaledwie redaktor skończył, krzyknąłem z taką werwą: „Rozkaz, panie kapitanie!!", że go aż wstrząsnęło całego. Wypadłem z redakcji, jak bomba. Po chwili mknąłem autem w kierunku dworca. Przyjechałem na stację minutę przed odejściem pociągu. Konduktor chciał mnie zatrzymać, bo pociąg już ruszał. Ale mu się nie udało.

Pociag w szklance.

Miałem w kieszeni kilka numerów „Mojego Przyjaciela",zająłem się przeto lekturą. Migające światło nie bardzo jednak usposabiało do czytania. Rozejrzałem się, by poznać mych towarzyszy podróży. Były to osobistości, jak na zamówienie, zupełnie nie interesujące, z wyjątkiem jednego pana o wyglądzie inteligentnym. Miał lat około 60, nosił rogowe okulary, palił mocne cygaro i pogrążony był w zadumę, utkwiwszy wzrok w jednym punkcie i skubiąc nerwowo swą hiszpankę.

W trakcie mych badań psychologicznych zasnąłem. Obudziłem się dopiero nad ranem, kiedy zaczęto kontrolować bilety. W Krakowie, spacerując po peronie, zaznajomiłem się z interesującym mnie pasażerem. Był to profesor Warszawskiej Wolnej Wszechnicy, Analiziewicz. Rozgadaliśmy się. W trakcie rozmowy opowiedziałem profesorowi treść przeczytanej przeze mnie wczoraj noweli, której bohater, jakiś genjalny uczony, zdołał doprowadzić wzrost człowieka do tak małych rozmiarów, iż ów tak pomniejszony człowieczek mógł obserwować budowę atomów gołem okiem. Profesor wysłuchał i zamyślił się.

— Czy pan profesor nie uważa, że pomysł ten można byłoby z korzyścią zasto-

sować do przewożenia ludzi. Dość byłoby wszystkich pasażerów tego naprzykład pociągu zmniejszyć do tak małych rozmiarów, aby się oni wszyscy razem mogli pomieścić w szklance, którą już łatwo byłoby przetransportować chociażby aeroplanem w żądanym kierunku.

— W samej rzeczy, — odparł profesor, — jest to pomysł dość interesujący, śmiem jednak wątpić, czy może zostać zrealizowany. Jednakże, co się tyczy samego pomysłu ułatwienia przewożenia transportów zwierząt i ludzi, to znajduje się on na drodze do urzeczywistnienia. Wprawdzie, nie w tej postaci, o jakiej dopiero co rozprawialiśmy...

— Jeśli pan profesor nie ma na myśli transportu napowietrznego, który narazie jednak się nie kalkuluje, to muszę się przyznać do zupełnej ignorancji pod tym względem.

— A jednak taki uproszczony sposób przewożenia istnieje, jest w dodatku tani i prosty, przyczem niema potrzeby uciekania się w danym wypadku do szlaków napowietrznych, gdyż wystarczą dotychczasowe urządzenia kolejowe. Mówię o tem z fachową znajomością rzeczy, gdyż osobiście brałem czynny udział w wytwarzaniu tych nowych metod.

— Zaiste, jestem bardzo zaciekawiony i radbym usłyszeć bliższe szczegóły o tym tak doniosłym dla ludzkości wynalazku. Któżby się mógł okazać jednak kompetentniejszym pod tym względem od pana profesora?

Małpy zamrożone.

— 20 lat temu, — zaczął pochlebiony mojemi słowy profesor, — przeprowadzał nasz znany uczony Królikiewicz doświadczenia nad anabiozem, czyli usypianiem żywych organizmów zapomocą sztucznego zamrażania. Tego rodzaju sen zupełnie przypomina śmierć. Szczególnie dobrze udały mu się eksperymenty z zamrażaniem ryb i zwierząt ciepłokrwistych. Udawało mu się zamrażać je na przeciąg 3-4 miesięcy, a po tym terminie — budzić je do życia, poczem zwierzęta czuły się również dobrze, jak i przed „zimnym snem". Było to w swoim czasie tematem rozmów powszechnych oraz artykułów dziennikarskich. Królikiewicz zamierzał już przejść do doświadczeń nad człowiekiem i znalazł nawet sporo kandydatów do snu lodowatego. Bardzo być może, iż w owym czasie byliśmy już bliscy urzeczywistnienia fantazji Wellsa „Kiedy się zmarły przebudzi", gdyż podług Królikiewicza można było zamrozić organizm ciepłokrwisty na bardzo długi okres czasu, na dziesiątki i nawet setki lat. W czasie „zimnego snu" działalność serca jest nadzwyczaj słaba, życie organizmu zaledwie się tli i dlatego jaknajbardziej optymistyczne nadzieje w tym kierunku byłyby usprawiedliwione. Niestety jednak na krótko przed dniem wyznaczonym na eksperymenty nad zamrożeniem człowieka, Królikiewicz nagle zmarł. Wraz ze śmiercią uczonego nie zgasła jednakże jego idea. Nawiązano zerwane nici i z biegiem czasu nasi uczeni osiągnęli bardzo pomyślne wyniki w zamrażaniu zwierząt ciepłokrwistych.

— Wiozę właśnie ze sobą — dodał profesor nie bez dumy,—żywe małpy w stanie zamrożonym dla przyszłego ogrodu zoologicznego w Zakopanem. Ma to również cele praktyczne, gdyż ostatnio zanotowano sporo wypadków śmiertelnych przy transportowaniu małp koleją. Ponadto zamrażanie małp jest swego rodzaju dla nich hydropatyczną kuracją i umożliwia im przebywanie w naszym klimacie. Do czego zaś może doprowadzić opalanie klatek z małpami, przekonaliśmy się podczas katastrofy warszawskiej, kiedy to zaczadziła się niemała ich ilość. Wagon, w którym przewozimy małpy, zamieniony jest na lodownię; mieszczą się w niej skrzynki z małpami. Wobec tego, że w tym stanie zwierzęta nie oddychają, niema się czego krępować powietrzem i można te żywe towary układać i przesyłać, jak wszelkie inne. Czyli, — dodał z uśmiechem profesor, — sprawa transportu została pomyślnie rozwiązana.

Zasłuchany w epokowe wywody uczonego o anabiozie, wysilałem się jednocześnie z przyzwyczajenia dziennikarskiego na najbardziej sensacyjne tytuły mych przyszłych artykułów: „Zapomniany wynalazek ś. p. profesora Królikiewicza", „Tajemnicza śmierć wielkiego uczonego", „Transport w najbliższej przyszłości" i t. p. W rzeczywistości jednak wyszedł z tego wszystkiego jedynie wywiad dla gazety z profesorem Analizikiewiczem, dość zresztą udany.

Kiedy się zmarły przebudzi.

Zmrok zapadał. Ciekawe opowiadania profesora Analiziewicza o cudach anabiozu nie mogły mnie jednak uchronić od senności. Zdrzemnąłem się. W em d nośnym głosem zabrzmiała tuba głośnika:

„Czemu nie jesteście kontenci z zeszłorocznego wyjazdu do zdrowiska? Po pierwsze dlatego, że wtedy jazda połączona była z wielkiemi kłopotami: musieliśmy stać w ogonku za biletami, wydatkowywać się na tragarzy, głównie zaś nudzić się w wagonie, starając się napróżno „zabić" czas, wlokący się bez końca. Po tóre, ponieważ byliśmy niespokojni o swój bagaż, który nierzadko ginął w drodze. Po trzecie, wychodzenie na stacjach przy zatrzymaniu się pociągu było połączone z ryzykiem, gdyż można było nie zdążyć wsiąść z powrotem do wagonu. Wreszcie, opłata kolejowa była dość wysoka. W ten sposób cała nasza jazda była szeregiem niepokojów i kłopotów, co w rezultacie czyniło nas jeszcze bardziej chorymi, niż przedtem.

Obecnie, dzięki ostatnim zdobyczom wiedzy, pasażer nie zauważy nawet, jak się przeniesie z Warszawy do jakiejkolwiek miejscowości, oddalonej o setki lub nawet tysiące kilometrów.

Dość będzie wnieść do kasy Waszp'a (Warszawska Akcyjna Spółka Zamrażania Pasażerów) kilkanaście lub kilkadziesiąt złotych, w zależności od odległości, (obywatele należący do zawodów wyzwolonych korzystają ze zniżki 50%). Przed odjazdem poddadzą się pasażerowie w poczekalni Waszp'a uśpieniu anabiotycznemu, które jest samo przez się bardzo przyjemne i wywiera, jak to stwierdziły powagi lekarskie, zbawienny wpływ na organizm.

Zasnąwszy w murach Grodu Syreniego, budzimy się u stóp Tatr, lub nad Bałtykiem, albo w Puszczy Białowieskiej. Tą samą drogą wracamy do Warszawy. Z dostawą do domu kosztuje o 10% drożej. Na ważniejszych stacjach można zamówić zgóry śniadanie lub obiad. Spis potraw ogłasza się uprzednio zapomocą radja".



Zeszedłem na najbliższej stacji i zacząłem notować swe wrażenia dla gazety.

Był piękny wieczór. Leciutki zefirek mięko kołysał wierzchołki drzew. Ale nie mogłem się dłużej rozczulać nad pięknem przyrody. Uwagę moją zwróciły jakieś podłużne skrzynki długości mniej więcej wzrostu człowieka. Na skrzyniach tych były napisy: „Warszawa — Zakopane", „Oddział Waszp'a na Skibówkach Nr. 7". Paki te leżały na platformach towarowych. Po chwili obok mnie przewieziono na wózku kilka skrzyń z napisami: Gdańsk—Praga Czeska — Wiedeń—Triest—Lizbona—Buenos-Ajres—... Nie miałem cierpliwości odczytywać, ale domyśliłem się, że w tych pakach spoczywają zamrożeni pasażerowie, odbywający podróż naokoło świata.

Najbardziej jednak zastanowił mnie spokój, z jakim odnosili się funkcjonariusze kolejowi do tego ludzkiego towaru.

— Słuchaj, Antek, — zauważył ziewając magazynier, — wrzućno te 3 skrzynie do wagonu Nr. 1050, a ja pójdę tymczasem

na papierosa. Ale, ale, tylko nie usta iaj tych pak do góry nogami! Choć zamrożeni, ale zawsze to ludzie.

— Co tam, — machnął ręką Antek, — albo im jakakolwiek pozycja może zaszkodzić? Żeby nawet na nosie stali, to i wtedy kataru nie dostaną...

Powiedziawszy to, Antek zręcznie podjechał pod wagon i wrzucił szybko paki, które umieścił tam w ten sposób, że wszyscy pasażerowie stali do góry nogami...

Magazynier machnął ręką i poszed na papierosa.

— Zaszkodzić, to nie zaszkodzi,—powiedział,—ale poco obrażać godność ludzką.

Scena ta wywarła na mnie niesamowite wrażenie: wiedziałem bowiem, że w tych skrzyni ch leżą żywi ludzie. Po chwili Antek podjechał z nową skrzynią o kształcie sześcianu.

Zapytałem Antka co to za dziwna skrzynia.

— Proszę pana,— gwi dnął mi w odpowiedzi Antek,—tu jedzie jakaś dama z fiołem (dla ilustracji przytknął się w czoło). Nie chciała się rozstać ze swoim pieskiem, to i psa jej dla towarzystwa zamrożono. Po-warjo-wa-li... zakończył swój wykład Antek i ustawił pakę w takiej pozycji, że jejmość opierała się całym ciężarem o wątłą psinę. W pewnym momencie zdawało mi się nawet, że słyszę żałośliwy skowyt biednej psiny, ale to było oczywiście złudzenie. „Waszp" zamrażał doskonale nie tylko ludzi lecz także i zwierzęta.

Wtem zauważyłem, że magazynier pędzi z całych sił zpowrotem ku nam, powiewając jakimś papierkiem.

— Antek, słuchaj, coś ty narobił? Nadszedł właśnie telegram! Rozłączyłeś młodą parę, odbywającą podróż poślubną: jego wyekspedjowałeś do Danji, a ją do Egiptu...

— Nic im się nie stanie, — rzekł filozoficznie Antek.—Główna rzecz, że cała podróż opłacona zgóry.

Magazynier nic nie odrzekł Antkowi, natomiast zatrzymał swój wzrok na mnie.

— A pan coś za jeden, — zapytał mnie urzędowo.

— Pasażer, — odrzekłem, przeczuwając coś złego. — A bo co?

— A to, — odrzekł nie bardzo grzecznym tonem magazynier, — że jesteś pan w stanie naturalnym. Tak jeździć nie wolno. Proszę pójść się zamrozić. Pst, ludzie cho źcie no tu, będzie dla was robota!

W jednej chwili zostałem otoczony przez kilku zdrowych drabów, noszących na czapkach oznaki Waszp'a. Oblał mnie zimny pot.

— Nie chcę! — krzyknąłem — nie macie prawa! Jestem przedstawicielem prasy!

— Nie słuchajcie go... — krzyknął magazynier — dalej go do lodowni! Zamrozić go przy 50 stopniach niżej zera, bo to widać człowiek opozycyjny.

— Nie macie prawa! — wrzasnąłem nie swoim głosem.—Jestem współpracownikiem „Mojego Przyjaciela"...

Kilka par zdrowych rąk wyciągnęło się, aby mnie schwycić. Szamotałem się, ale upadłem i uczułem silny ból.

— Bandyci! — krzyknęła jakaś tęga jejmość, która dotąd najspokojniej drzemała sobie na ławce.

— Co się panu stało? — krzyknął zdumiony profesor — Uderzył się pan?

— Ależ nie — uspokoiłem profesora — trzymając się za zbolały bok.

A więc to był tylko sen? Przywidziała mi się fantastyczna scena z niedalekiej być może przyszłości?

— Za pozwoleniem, gdzie my się właściwie znajdujemy? zapytałem konduktora.

— Minęliśmy Chabówkę. Za godzinę będziemy w Zakopanem.

Tymczasem wszyscy się przebudzili i dobiegli do okien. Roztaczał się przed nami cudny widok: Tatry były okryte chmurami, ale przez tę zasłonę wyraźnie uwydatniły się kontury górskie, niby tiulem okryte. Pociąg podjeżdżał do letniej stolicy. Stanął. Pasażerowie wyskoczyli, przyczem sensację wywołały skrzynie o kształcie trumien z napisami: „Ostrożnie. Ładować pod kierunkiem profesora Analiziewicza".

Były to małpy, zamrożone na drogę.

Ale nie uczony Analiziewicz był powodem mego wyjazdu. Nie dla wywiadu z małpami mrożonemi wysłała mnie redakcja. Należało nagwałt odszukać profesora Fiołogłowskiego i odsłonić tajemnicę jego eksperymentów radjowych.

Roztrącam wszystkich i wrzeszczę: „Gdzie jest do stu tysięcy djabłów profesor Fiołogłowski?"

(Dokończenie nastąpi).

I. L. HENSLOWE.

HURAGAN!

Opowiadanie niniejsze nie jest nowelą w ścisłem tego słowa znaczeniu. Jest to prawdziwa historja, opowiedziana autorowi przez przygodnego znajomego, spotkanego w jednym z hoteli Brytyjskiej Kolumbji, gdzie obydwaj musieli szukać schronienia przed szalejącym podówczas huraganem.

Znajomość z Harrisem zawarłem w dość niezwykłych okolicznościach. Siedziałem przy kominku nędznego wiejskiego hoteliku w jakiejś zapadłej dziurze Brytyjskiej Kolumbji, przysłuchując się wyciu i rykom huraganu, szalejącego od samego rana. Była już godzina czwarta popołudniu, lecz wicher nie słabnął ani na chwilę, przeciwnie, zdawał się wzmagać coraz więcej. Drewniany budynek hotelu drżał w posadach; szyby dźwięczały żałośnie pod smaganiem wichury; zdala dolatywał podobny do grzmotu szum morza, bijącego olbrzymiemi ołowianemi falami o kamienisty brzeg. Dziękowałem w duchu losowi, który zaprowadził mnie do gościnnych podwoi hotelu przed nastaniem burzy.

Wtem drzwi zajazdu, prowadzące wprost na ulicę, otworzyły się i do pokoju wpadł z impetem jakiś człowiek. Mówię „wpadł" dlatego, że rzeczywiście robił wrażenie, iż podmuch wiatru poderwał go w powietrze i cisnął na sam środek pokoju. Zanim zdążyłem podnieść się z krzesła, nieznajomy spojrzawszy dokoła dzikiemi, osłupiałemi ze strachu oczyma, rzucił się ku drzwiom, prowadzącym do suteryny i skrył się za niemi.

Spojrzałem zdziwiony na kelnera, który usiłował w tej chwili zamknąć otwarte naoścież drzwi. Kiedy mu się to wreszcie udało, kelner z uśmiechem zwrócił się do mnie.

— Może pan być pewny, że teraz nie wylezie z suteryny do wieczora. Pewnie leży tam teraz na ziemi, łapie się za głowę i płacze...

— Cóż to, warjat, czy co? — zapytałem zdziwiony.

— Nie, warjatem nie jest, ale kiedyś musiał go huragan złapać pod



Drzwi się rozwarły i do pokoju wpadł jakiś młodzieniec.

gołem niebem. Od tego czasu zdaje się coś mu przewróciło w głowie...

Nie miałem czasu rozpytywać kelnera o dalsze szczegóły, bo w drzwiach pokoju zjawił się Chinczyk — sługa i zawiadomił, że obiad już podany. Po obiedzie zaś, gdy wyszedłem znów do salonu, zastałem tam Harrisa, pogrążonego w czytaniu jakiejś książki.

Ukłonił mi się grzecznie, lecz nie nawiązywał rozmowy. Czytając gazetę rzucałem na niego od czasu do czasu ukradkowe spojrzenie. Interesował mnie ten młodzieniec, w którym mimo dziwnego zachowania i skromnego ubioru można było jednak poznać człowieka z towarzystwa. Wieczorem podczas wspólnej kolacji spróbowałem nawiązać z nim rozmowę. Być może, potrafiłem wzbudzić w nim zaufanie, może odegrała tu rolę butelka szkockiej whiski, która nawet z małomównego osobnika uczynić może świetnego rozmówcę, — dość, że Harris rozgadał się na dobre. Opowiedział mi szczegółowo swą biografję, przyjazd do Ameryki w pogoni za nieuchwytną fortuną, następnie swą ruinę finansową, która doprowadziła go do opłakanego stanu. Parę razy miałem wrażenie, że Harris chce poruszyć jakiś temat, nie bardzo dla niego miły, ale brakuje mu odwagi. Wreszcie jednak, po krótkiej pauzie, Harris zwrócił się do mnie.

— Właściwie trzebaby było panu objaśnić przyczynę moich dzisiejszych wybryków. Jeżeli ma pan cierpliwość, mogę panu opowiedzieć całą historję.

Skinąłem głową potakująco i podsunąłem mu bliżej pudełko cygar. Zapaliliśmy, i Harris zaczął swą opowieść.

* *
*

Podczas gdy się uczyłem w szkole, i nawet później, w uniwersytecie, stanowczo cierpiałem na chorą wyobraźnię. Wystarczył najdrobniejszy wypadek, naprzykład upadek z roweru albo zepsucie się hamulca samochodu, — aby moja wyobraźnia zaczęła intensywnie pracować i malować przede mną obrazy straszliwej katastrofy. Naprzykład, pewnego razu, spacerując po wąskiej krawędzi urwiska, potknąłem się i upadłem. Nie było w tem żadnego niebezpieczeństwa, bo cała ścieżka była odgrodzona od urwiska mocnemi stalowemi poręczami; ale w wyobraźni mojej już przeżyłem całą okropność upadku na skały, sterczące na dnie urwiska dwieście metrów poniżej ścieżki.

Całem napięciem nerwów przeżyłem straszną agonję upadku, bezwładność ciała, obracającego się w powietrzu i głuche uderzenie o skały. Zdawało mi się, że widzę już ludzi, biegnących mi na pomoc, i widzę siebie samego, leżącego nieruchomo na dnie przepaści! Z wielkim trudem pozbyłem się tych chorobliwych majaków — dopiero po kilkugodzinnej przechadzce! Co się tyczy czterech lat, spędzonych na wojnie, — nie chcę o tem panu nawet opowiadać; czas ten był dla mnie prawdziwą męczarnią.

Rok temu pracowałem na porębach leśnych w dziewiczych borach na zachodnim brzegu wyspy Vancouver. Było nas tam czterech, — wszyscy robotnicy kontraktowi. Pewnego razu koledzy moi wyjechali na kilka dni do miasta, pozostawiając mnie samego w lesie. Na mnie wypadła kolej zostać w obozie i doglądać koni.

Czy pan bywał kiedyś sam w lesie? Dla człowieka nie przyzwyczajonego do samotności jest to ciężka próba. Samotność śród pól i lasów gdzieś w zaludnionym kraju jest bagatelą, — bo tam zawsze się słyszy rozmaite dźwięki, mówiące nam o życiu: gwizdki pociągów, szczekanie psów, ryczenie wołów. Ale na bezludnej wyspie, śród wiekowych borów, cisza zdaje się oddzielać nas od świata jak ciężka zasłona.

Trzask złamanej gałęzi rozlega się jak strzał karabinowy; szum strumyka nakazuje nerwowemu człowiekowi wciąż oglądać się poza siebie. I gdy się już raz dało opanować złowieszczym wpływom tej martwej ciszy, to już się nie ma śmiałości wyjść z chałupy i zrobić choćby jedno uderzenie

siekierą, żeby nie zdradzić swej obecności przed jakiemś nieznanem *coś*.

W ciągu dwóch dni mężnie walczyłem z depresją. Wstawałem o świcie, zaprzęgałem konie, spożywałem śniadanie, sprzątałem w chałupie, i o godzinie ósmej już byłem w lesie. Dzięki usilnej pracy fizycznej potrafiłem utrzymywać swą wyobraźnię w normalnych granicach.

Pewnego razu, wieczorem, gdy wyładowywałem drwa i składałem je koło stodoły, nagle coś spadło z hukiem tuż koło moich nóg. Odskoczyłem wtył i spojrzałem do góry. Okazało się, że duży zgniły sęk olbrzymiej sosny ułamał się i spadł na ziemię.



Obejrzałem się dookoła i włosy stanęły mi dęba.

Gdy przyjrzałem się uważniej, spostrzegłem, że cała sosna pochyliła się nieco nad chatą, i co więcej, — nad tą częścią chaty gdzie stało moje łóżko. Usiłowałem zapomnieć o tem i powstrzymać swą chorobliwą fantazję. Ale myśl o sosnie powracała ciągle przez całą noc, tak że byłem we śnie zmiażdżony przez nią conajmniej z pięćdziesiąt razy.

Po nocnym odpoczynku byłem już w lepszym humorze; niekiedy udawało mi się nawet zapomnieć o pochylonej sośnie. Ale przez cały czas nie porzucała mnie świadomość tego, że istnieje coś, o czem muszę zapomnieć; coś o czem nie trzeba myśleć.

Tego wieczora, po kolacji, jak zwykle zapaliłem fajkę i zacząłem czytać. Leżałem wyciągnięty na górnej koji, przymocowanej dość wysoko do ściany. Lampę zawiesiłem na haczyku tuż nad głową. Wtem poderwałem się w ogromnem napięciu nerwów. Tam, daleko w górach, usłyszałem coś... coś na co czekałem przez cały ten czas: *wiatr*!

Ogarnęło mnie okropne uczucie podobne do zmory nocnej, jaka wstrząsa duszą wystraszonego dziecka. Szum zbliżającej się burzy wzmagał się, potężniał z każdą chwilą; słyszałem jak drzewa uginały się i wywracały pod jej groźnym podmuchem. Potem poczułem, jak wiatr uderzył w moją nędzną chałupę, która zachwiała się w posadach. I wtedy, wydawszy dziki okrzyk przerażenia, skoczyłem wdół.

Podłoga była dobre dwa metry niżej, ale skoczyłem naoślep bez żadnego wahania. W tej samej chwili usłyszałem, a raczej odczułem całą swą istotą ogłuszający trzask. Podłoga na którą spadłem była już pochylona pod kątem co najmniej czterdziestu pięciu

stopni, i podnosiła się coraz wyżej. Uderzyłem się o nią kolanami i łokciami i odleciałem z rozpędu do ściany. W tym momencie ściana się wygięła i runęła z straszliwym hałasem. Pamiętam, że nie uległem wcale panice, nawet się nie przestraszyłem; miałem natomiast dziwne uczucie wewnętrznego zadowolenia, że moja intuicja nie zawiodła mnie i że moje przeczucia się sprawdziły. Wtem coś uderzyło mnie mocno w tylną część głowy i miałem wrażenie, że zaczynam się pogrążać w głęboki sen.

Straciłem jednak przytomność zaledwie na parę minut. Gdy przyszedłem do siebie zauważyłem całe obłoki kurzu i sadzy, które powoli osiadały na podłodze, oświetlone czerwonym płomieniem żelaznego piecyka, który się przewrócił podczas katastrofy. Chciałem się podnieść i teraz dopiero poczułem, że lewa moja noga została przyciśnięta do podłogi belką, która spadła z sufitu.

Upadłem znowu na wznak, usiłując zebrać myśli i zrozumieć co tu właściwie zaszło? Oczywiście olbrzymia sosna została złamana przez wichurę i padając rozwaliła moją chałupę w gruzy. Trzeba było przedewszystkiem uwolnić nogę z pułapki. W tej chwili nowy poryw wiatru ze straszną siłą uderzył w ruiny mej leśniczówki i gdzieś bardzo blisko znowu jakaś sosna runęła z hukiem na ziemię.

Tego już moje nerwy nie były w stanie wytrzymać! Próbowałem uklęknąć i nachylić się naprzód; wiłem się na podłodze usiłując uwolnić nogę ze śmiertelnego uścisku. Ale wszystkie wysiłki na nic! noga nadal była ściśnięta jak w kleszczach, a moje szarpanie się przyczyniło mi tylko silny ból. Dysząc ciężko znów upadłem na plecy i starałem się opanować ogarniającą mnie panikę.

Wtem nagle zauważyłem coś ...i włosy stanęły mi d ba. Języki płomieni lizały belkę, która upadła w poprzek przewróconego żelaznego piecyka. Leżałem jak zaczarowany, patrząc nieruchomo na ogień. Teraz już nie odczuwałem żadnego strachu; przeciwnie, nigdy nie czułem się bardziej spokojny jak w tym momencie. Płomień stawał się coraz bardziej jaskrawy; obłoczki dymu podnosiły się w górę. Na szczęście wiatr dął w kierunku ode mnie, tak że nie odczuwałem jeszcze żaru rozpalonego piecyka i palącej się belki.

Spojrzałem jeszcze raz na nogę. Belka, która przyciskała ją do podłogi, nie była bardzo gruba, miała może jakie osiem — dziesięć centymetrów. Szukałem naokoło jakiegoś przedmiotu, którego możnaby było użyć jako lewara. W tym momencie zwróciłem uwagę, że coś mi mocno uwiera w boku. Była to lufa mojej strzelby. Z wysiłkiem podniosłem się raz jeszcze i wydobyłem z pod siebie mój Winchester. Ale czy dostanę karabinem do belki? Przegiąłem się wpół i wsadziłem koniec lufy pod belkę koło mojej nogi. Potem, zebrawszy siły, podważyłem z całej mocy. O szczęście! Belka podniosła się trochę. Jeszcze jeden wysiłek i noga była wyswobodzona.

W międzyczasie ogień rozszalał jak w piekle. Suche deski, z których sklecona była chałupa, paliły się na dobre; cała moja odzież była osmalona. Czułem okropny ból w nodze, ale mimo to rzuciłem się naoślep do drzwi i starałem się namacać klamkę. Nie mogłem jej podnieść, była przyciśnięta. Trzymałem jeszcze machinalnie karabin w ręku. Uderzyłem w szybę, która z trzaskiem wyleciała nazewnątrz. Wówczas odurzony i nawpół oślepiony wyskoczyłem przez otwór okna.

W obawie przed ogniem zapomniałem zupełnie o burzy, szalejącej na dworze; ale teraz, gdy chciałem się wyprostować, poryw wiatru rzucił mnie na ziemię. Gałęzie drzew wykręcały się jak ręce jakichś fantastycznych żywych istot, a mnie się zdawało, że to ręce wyciągają się ku mnie, aby mnie schwycić. Rzuciłem się do ucieczki.

Teraz nie przypominam sobie szczegółów tego szalonego biegu. Pamiętam

tylko, że biegnąc, pełzając, kulejąc przebyłem piętnaście kilometrów górskiej szczeliny, które dzieliły mnie od wioski. Trzy razy musiałem przełazić przez wywrócone z korzeniami drzewa, i za każdym razem inne olbrzymy padały tuż koło mnie z przerażającym hukiem.

Znaleziono mnie nazajutrz leżącego śród bagniska, niedaleko wioski. Potem mi opowiadano że przez cały czas bredziłem, ale ja sam o tem nic a nic nie pamiętam. Noga moja była złamana w dwóch miejscach, a na głowie miałem głęboką ranę.

* * *

Harris zapalił zgasłe cygaro. W międzyczasie burza ucichła; tylko morze niespokojnie i głucho szumiało w oddali.

— Dlaczego pan nie wyjedzie z tego kraju? — zapytałem. — Mnie się zdaje, że nie ma tu pan nic do roboty.

— Ma pan rację, — odpowiedział Harrys. — Wyjeżdżam za miesiąc. Mój wój prowadzi interesy na Malakce; mam zamiar wyjechać do niego w początku listopada. W międzyczasie jednak postaram się przezwyciężyć mój paniczny strach przed burzą!

TAJEMNICZE POSĄGI.

Oto jeszcze jedna tajemnica, niezbadana dotychczas nawet przez dzisiejszą wszędobylską wiedzę. Angielska ekspedycja naukowa zbadała Wyspę W elkanocną, —malutki skrawek ziemi, gubiony gdzieś w bezmiarach Oceanu Spokojnego, daleko od uczęszczanych szlaków morskich. Na wyspie tej znaleziono kilka olbrzymich kilkunastometr wych posągów, zrobionych z czarnego gładko polerowanego drzewa i pokrytych napisami w nieznanym języku. Technika wykonania świadczy, że posągi te nie mogły być zrobione przez mieszkańców wyspy, półdzikich Melanezyjczyków. Prócz tego twarze tych posągów w niczem nie przypominają typu melanezyjskiego. Przez kogo te statuy zostały wyrzeźbione, jak i kiedy przywiezione na tę pustynną wyspę? Oto zagadnienia nad któremi głowi się kilku najwybitniejszych antropologów i geografów angielskich.

Obecnie 3 statuy przewiezione zostały do Muzeum Brytyjskiego. Ciekawem jest, że na malutkiej wysepce, której średnica nie przenosi 20 kil., znaleziono tych posągów przeszło trzydzieści, przyczem sami tubylcy nic nie wiedzą o ich pochodzeniu.



Tajemnicze posągi znalezione na wyspie Wielkanocnej na Oceanie Spokojnym.

NIEPARADOKSALNE PARADOKSY.

ZIEMIO, ZATRZYMAJ SIĘ!...

NAJTAŃSZY SPOSÓB PODRÓŻOWANIA — PROJEKT CYRANO DE BERGERACA. — KANCELISTA - CZARODZIEJ Z POWIEŚCI WELLSA. — PRZEDMIOT, RZUCONY Z AEROPLANU.

Najtańszy sposób podróżowania.

Dowcipny pisarz francuski XVII wieku Cyrano de Bergerac w swojej satyrycznej „Historji państw na księżycu" (r. 1652) opowiada między innemi o zadziwiającem zdarzeniu, które go rzekomo miało spotkać. Zajmując się pewnego razu doświadczeniami fizycznemi, został on nieoczekiwanie, w niepojęty sposób podniesiony wraz ze wszystkiemi swemi naczyniami wysoko do góry. Kiedy jednakże po upływie kilku godzin udało mu się wreszcie znowu uzyskać grunt pod nogami, znalazł on się, ku swemu zdumieniu, nie w ojczystej Francji i nawet nie w Europie, lecz na kontynencie Ameryki Północnej, w Kanadzie! Swój nieoczekiwany lot przez Atlantyk (dwa stulecia przed Lindberghem!) autor francuski uważa jednakże za zupełnie naturalny, komentując go w sposób wielce komiczny. Okazuje się, że w tym czasie, kiedy autor podniósł się nad powierzchnią kuli ziemskiej, nasza planeta nie przestawała się wciąż obracać; oto przyczyna, dlaczego dowcipny pisarz opuścił się po niejakim czasie aż w Ameryce.

Zdawał by się, co za tani i prosty sposób podróżowania! Nawet w naszem stuleciu, które korzysta z dróg żelaznych, tramwajów elektrycznych, statków parowych, samochodów i aeroplanów — ów sposób mógłby pobić wszystkie rekordy. A cóż dopiero w wieku XVII! Wystarczy podnieść się nieco w powietrze i zatrzymać się tam kilka minut, aby opuścić się w zupełnie innej miejscowości, daleko na zachód od pierwotnego punktu. Zamiast tego, aby przedsiębrać dalekie i nużące podróże poprzez kontynenty i oceany możemy nieruchomo utkwić ponad ziemią i wyczekiwać, póki kula ziemska, obracając się, nie nastawi nam grzecznie pożądanego punktu.

Niestety, ten zdumiewający sposób podróżowania jest tylko śmiałą fantazją. Po pierwsze podniósłszy się do góry, my, w rzeczywistości, wcale nie oddzielamy się od kuli ziemskiej: znajdujemy się bowiem w oceanie powietrznym, ściślej mówiąc, w jego dolnych, najbardziej gęstych warstwach—które obracają się wraz z kulą ziemską, porywając za sobą chmury, aeroplany, ptaki, owady i t. p. Gdyby powietrze nie brało udziału w ruchu obrotowym kuli ziemskiej, to na ziemi odczuwalibyśmy stale tak silne prądy powietrzne, w porównaniu z któremi najstraszniejszy huragan wydałby się nam łagodnym zefirkiem. *) Ostatecznie, jest to rzecz obojętna: czy stoimy na miejscu, a powietrze się porusza, czy też naodwrót, powietrze jest nieruchome, a my się poruszamy; w obu wypadkach doznajemy jednakowo silnego wiatru. Wszak automobilista, pędzący z szybkością 100 kilometrów na godzinę, odczuwa bardzo silny wiatr, nawet podczas zupełnej ciszy.

Powtóre, gdybyśmy nawet zdołali się podnieść do najwyższych warstw atmosfery, nie zdołalibyśmy skorzystać z tego taniego sposobu podróżowania, wylęgłego w fantazji satyryka francuskiego. W samej rzeczy, oddzielając się od powierzchni będącej w ustawicznym ruchu kuli ziemskiej, my jednak w myśl prawa bezwładu będziemy nadal się poruszali z tą samą szybkością, z jaką biegnie ziemia pod nami, kiedy zaś znów opuścimy się nadół, znajdziemy się w tym samym punkcie, od któregośmy się oddzielili, podobnież, jak podskoczywszy w wagonie pociągu, opuścimy się na poprzednie miejsce. Wprawdzie na mocy prawa bezwładu poruszać się będziemy po linji prostej, punkty kuli ziemskiej pod nami—po krzywej (zakreślając łuk); dla niewielkich jednakże okresów czasu różnicy tej można wcale nie brać pod uwagę.

* * *

Znany współczesny powieściopisarz angielski, H. Wells, mówi w jednem ze swoich fantastycznych opowiadań o cudach dokonanych przez niejakiego kancelistę. Ograniczony i mało wykształcony młodzieniec pozyskał dziwnem zrządzeniem losu zadziwiający dar: dość mu było wypowiedzieć jakiekolwiek żądanie, aby się ono

*) Szybkość ruchu powietrza podczas huraganu wynosi 75 metrów na sekundę, a punkty kuli ziemskiej przechodzą w przestrzeni paręset metrów na sekundę (w zależności od szerokości geograficznej).

niezwłocznie spełniło. Ten, zdawałoby się ponętny dar, przysporzył jednakże zarówno jego posiadaczowi, jak i innym ludziom, wiele przykrości. Szczególnie zajmująco się przedstawia zakończenie tej opowieści.

„Po zbyt długo trwającej nocnej hulance, kancelista — czarodziej, bojąc się wrócić do domu o świcie, wpadł na pomysł, aby przedłużyć noc. Jak tego dokonać? Trzeba rozkazać ciałom niebieskim zatrzymać się w swym biegu. Młodzieniec nie odrazu się zdecydował na taki niezwykły czyn. Kiedy zaś przyjaciel poradził mu „zatrzymać księżyc“, spojrzał nań z uwagą i rzekł w zamyśleniu:

— Zdaje mi się, że z tego nic nie będzie, bo odległość księżyca od ziemi jest zbyt duża. Jak uważasz?

— Kupić nie kupić, potargować można, — odparł przyjaciel. — Księżyc może się nie zatrzyma, ale zato ziemia wstrzyma swój bieg, a zarazem i czas, że tak powiem, stanie na miejscu. Spodziewam się, że to nikomu nie zaszkodzi.

Hm! — mruknął kancelista.—Dobra jest! Spróbujmy! Za zynam...

Zapiąwszy palto na wszystkie guziki, stanął w pozycji władczej, rozpostarł ręce i wyrzekł uroczyście:

— Ziemio, zatrzymaj się! Przestań się obracać!

Nie zdążył dokończyć tych słów, jak obaj przyjaciele pędzili już w przestworzach z szybkością kilku tuzinów mil na minutę.

Pomimo to mózg czarodzieja pracował dalej, gdyż myśl czasami nie wymaga prawie czasu. Krócej niż w sekundę zdążył on obmyśleć i wypowiedzieć następujące życzenie:

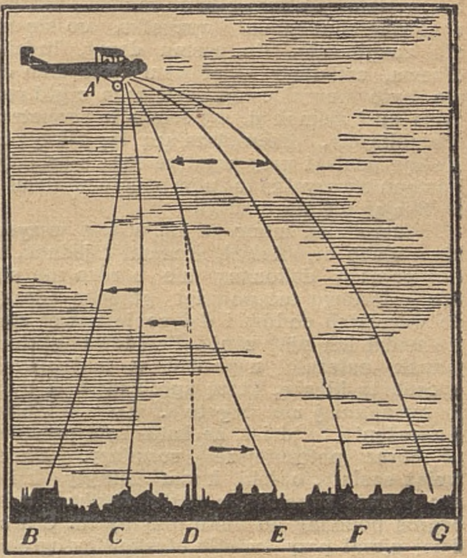
— Cokolwiek się stanie, niech ja pozostanę żywy i cały!

Nie można zaprzeczyć, iż życzenie naszego bohatera wypowiedziane zostało w porę, gdyż jego ubranie, wskutek tarcia o powietrze, zaczęło się już zapalać.

Jeszcze kilka sekund i nieszczęśliwy czarodziej spadł na miękką niedawno wykopaną ziemię, a wokoło niego, nie przyczyniając mu żadnej szkody, unosiły się w powietrzu wyrwane z korzeniami drzewa, słupy telegraficzne, dachy i całe części budynków rozmaitego rodzaju. Wokoło panował straszny hałas. Czegoś podobnego on nie słyszał ani przedtem, ani później. Zresztą wiatr dął z taką siłą, że kancelista nie był wprost w stanie ruszyć głową, aby się rozejrzeć.

— Niepojęte! — krzyknął przerywanym głosem. — Co się stało? Burza, czy co? Przecież noc była taka spokojna! Wszystkiemu winien jest kolega! Poco usłuchałem? Gdzież oni teraz? Pewnie zrobiłem coś nie tak, jak należy...

Obejrzawszy się, na ile mu pozwalał wiatr, który mu ciskał końce marynarki do oczu, rozmawiał dalej:



Tak spada na ziemię przedmiot (naprz. bomba) rzucony z aeroplanu. Jak widzimy linja spadku przyjmuje różne kształty, zależnie od kierunku wiatru (oznaczonego na rys. strzałkami).

— Na niebie, zdaje mi się wszystko jest w porządku. Oto księżyc. Znajduje się jak i przedtem wprost nad moją głową. Ale, gdzie ...wszystko inne? Gdzie miasto? Gdzie domy i ulice? Skąd zresztą wziął się ten wiatr? Przecież nie wydawałem rozkazu, aby zaczął wiać!

Młody czarodziej usiłował utrzymać się na nogach, ale to mu się nie udało; musiał więc posuwać się naprzód na czworakach, czepiając się kamieni i wyniosłości gleby. Zresztą nie wiedział dokąd ma się skierować, ponieważ, o ile można było widzieć z za brzegów marynarki, które wiatr wciąż zarzucał mu na głowę, wszystko wokół przedstawiało obraz kompletnego zniszczenia.

— Coś się we wszechświecie na serjo popsuło-pomyślał czarodziej,—ale co się właściwie stało, nie mam zielonego pojęcia!

Zaiste, coś się popsuło. Nie było widać ani domów ani drzew, ani jakichkolwiek żywych istot. Same tylko bezkształtne ruiny, tudzież różnego kalibru połamane części najprzeróżniejszych przedmiotów, unoszące się wśród tumanów kurzu, pędzący huragan z prędkością huraganu. Błyskawice i pioruny przy zupełnie czystem niebie dopełniały obrazu, który się w całej swej grozie okazał winowajcy tego chaosu. Kancelista nie pojmował, oczywiście, sedna sprawy. A tymczasem rzecz przedstawiała się niezmiernie prosto. Zatrzymawszy znienacka ziemię, czarodziej nie pomyślał o prawie bezwładu, który właśnie przy nagłem wstrzymaniu

biegu ziemi bezwzględnie musiał zrzucić z powierzchni ziemi wszystko, co się na niej znajdowało. Oto, czemu domy, ludzie, drzewa, zwierzęta — słowem wszystko co nie było nierozłącznie związane z główną masą kuli ziemskiej, wyleciało w powietrze z szybkością, przewyższającą tę, którą posiadają pociski przy wystrzeleniu z armaty. Następnie wszystko to znów padało na ziemię, rozbijając się na drzazgi.

Czarodziej, mimo że się w tem wszystkiem słabo orjentował, zrozumiał jednak, iż cud przezeń dokonany nie bardzo mu się udał. Dlatego też powziął głęboką odrazę do wszelkich cudów i dał sobie nawet słowo nadal ich nie czynić. Przedewszystkiem jednak należało naprawić w jakikolwiek sposób tę klęskę, którą sprowadził. A była to bynajmniej nie bagatela. Ku wielkiemu przerażeniu widział, że katastrofa przybiera coraz potężniejsze rozmiary. Burza wciąż szalała, obłoki kurzu zakryły księżyc prawie zupełnie, a zdala słychać było odgłos podobny do huku przypływu. Czarodziej ujrzał przy świetle błyskawicy ogromną ścianę wody, pędzącą ze straszną szybkością ku temu miejscu, gdzie leżał bezwładny.

— Przyjacielu — krzyknął on — gdzie jesteś?

Nie otrzymując jednak żadnej odpowiedzi i nie mogąc przeto liczyć na rady ludzi doświadczonych, zrozumiał, że musi działać na własną odpowiedzialność, co mu dodało stanowczości.

— Stój, — krzyknął, zwracając się do wody. — Ani centymetru dalej!

Następnie skierował ten sam rozkaz do piorunów, błyskawic i wiatru.

Nastała cisza.

— Poczekajcie chwilę, — rzekł czarodziej, — dajcie mi skupić myśli... Cóż mam teraz czynić?

Przykucnąwszy, młodzieniec pogrążył się w zadumę.

— Żeby tylko znowu nie narobić bigosu, — pomyślał, a następnie rzekł, — tak!.. Po pierwsze, kiedy się spełni wszystko, co rozkażę, niech stracę zdolność czynienia cudów i zostanę takim, jak wszyscy normalni ludzie. Precz z cudami, to zbyt niebezpieczna zabawka! A powtóre, niech wszystko będzie podawnemu: to samo miasto, ci sami ludzie, takie same domy, i ja sam jakim byłem niegdyś. Dość czarów, nie chcę więcej!...

Tak się skończyła krótkotrwała karjera czarodzieja kancelisty z noweli Wellsa.

* * *

Wyobraź sobie, czytelniku, że znajdujesz się na aeroplanie, który szybuje w przestworzu. Przelatujesz nad dobrze ci znanemi miejscowościami. Wkrótce przefruniesz ponad ogrodem gdzie mieszka twój przyjaciel.

— Dobrzeby było posłać mu pozdrowienie, — przyszło ci do głowy:

Kreślisz kilka słów na kartce papieru wyrwanej z notesika, przywiązujesz twój liścik do kamienia i w momencie, kiedy samolot znajduje się akurat nad ogrodem, rzucasz kamień.

Jesteś najzupełniej przekonany, że kamień wraz z liścikiem spadnie wprost do ogrodu. Tymczasem pada on zupełnie gdzieindziej.

Dlaczegóż? Przecież byłeś akurat nad ogrodem!

Otóż właśnie dlatego kamień nie spadnie do ogrodu. Obserwując spadek kamienia, zauważyłbyś dziwne zjawisko: kamień spada nadół, ale jednocześnie znajduje się wciąż pod aeroplanem, jakgdyby się ześlizgiwał po przywiązanej do samolotu niewidzialnej nici. Kiedy więc kamień dosięgnie ziemi, wówczas znajdować się będziesz daleko poza ogrodem.

Mamy tu do czynienia z tem samem prawem bezwładu, które uniemożliwia nam ów ponętny sposób podróżowania podług pomysłu Cyrano de Bergeraca. Póki kamień znajdował się na aeroplanie, poruszał się w przestrzeni z szybkością aeroplanu. Ale i po oddzieleniu się od samolotu wskutek tegoż prawa bezwładu zachował poprzednią szybkość.

Powyższe wywody unaoczniają nam trudności zadania, jakie ma przed sobą lotnik wojenny, mający rozkaz rzucenia bomby w pewien określony punkt. Musi, mianowicie, wziąć pod uwagę zarówno prędkość samolotu, jak i warunki spadku ciężkiego ciała w powietrzu, wreszcie prędkość wiatru.

Z trzech czynników, wpływających na kierunek spadku kamienia, tylko jeden jest wielkością stałą, a mianowicie: szybkość spadku ciężkiego ciała w powietrzu, którą można obliczyć z matematyczną ścisłością. Dwa zaś pozostałe czynniki, a mianowicie prędkość samolotu i szybkość wiatru są zmienne i mogą przeto wytwarzać rozmaite kombinacje. A więc:

1 wypadek: brak wiatru. Wówczas kamień spadnie z aeroplanu po linji krzywej na tej zasadzie, że wykonywa dwa ruchy: ruch, nadany prędkością aeroplanu i siłą przyciągania ziemi.

2 wypadek: wiatr i samolot mają ten sam kierunek i kamień unosi się naprzód (również po krzywej).

3 wypadek: samolot i wiatr mają przeciwne kierunki. Wówczas odegra rolę różnica tych sił. Odgrywa też w danym wypadku ważną rolę, czy górny i dolny wiatr mają jednakowe kierunki i szybkość. Wszystkie te momenty uwidocznione są na kliszy na str. 265.

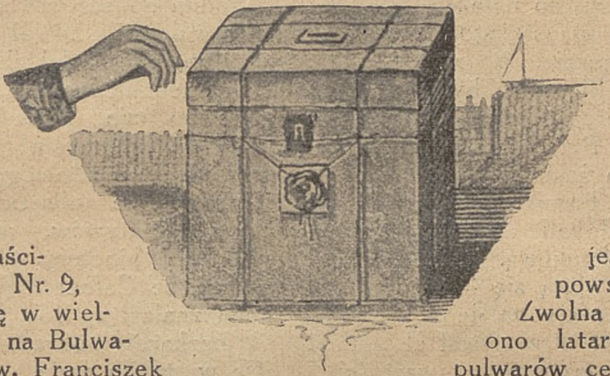
T. Popiel.

KONKURS LITERACKI „MOJEGO PRZYJACIELA“.

Tajemnica wuja Franciszka.

NOWELA — ZADANIE.

NAPISAŁ *ZYGMUNT RZEWUSKI.*



—Jakto, tylko 25 franków?

Inkasent Towarzystwa „Elektro“spoglądał na licznik w wielkiem zdumieniu. Właściciel mieszkania Nr. 9, znajdującego się w wielkiej kamienicy na Bulwarze Kapucynów, Franciszek Cafourchon, zmrużył jedno oko.

— Czemu pan się tak dziwi? Oszczędzam światło.

— Daj pan spokój! Gdzież tu być może mowa o oszczędności. Same lekcje tańców, które pan co wieczór urządza we wielkim salonie, oświetlonym dwoma kandelabrami i sześcioma ściennemi lampami, pochłaniają tygodniowo energji elektrycznej minimalnie za 40 franków. Ale pan wszak urządza oprócz tego bale. Tymczasem w ciągu ubiegłego roku 1887 nie wrzucił pan do naszego automatu ani razu ponad 35 franków miesięcznie. Rzecz oczywista, że Towarzystwo ponosi w danym wypadku stratę miesięczną w wysokości kilkuset franków co najmniej!

— Ta, ta, ta,—zamruczał starzec ironicznie.—Wkrótce to mi pan naliczy tysiące.

— Abo tak jest naprawdę. Pańskie mieszkanie pozbawiło nas nietylko tysięca.

— W jaki sposób?

Inkasent nic nie odrzekł, ale twarz jego wyrażała wielkie zdenerwowanie.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia oświetlenie elektryczne w Paryżu było jeszcze mało rozpowszechnione. Zwolna tylko rugowało ono latarnie gazowe z bulwarów centralnych i teatrów, a wcale jeszcze nie docierało do Montmartre lub Passy. Ale sala tańców (nazwa dancing przyjęła się na kontynencie europejskim znacznie później) Franciszka Cafourchon'a, przezwanego przez klientów „wujem Franciszkiem“, mieściła się wpobliżu Wielkiej Opery. W tej zaś dzielnicy wszystkie magazyny jaśniały lampami węglowemi, które nie dawały wprawdzie tak silnego światła, jak obecnie, ale w owych czasach wydawały się wspaniałemi. Sala tańców była postawiona na wielką skalę. Jako kierownika zaangażował Cafourchon, będący z pochodzenia chłopem i nie posiadający poloru towarzyskiego, baletmistrza Wielkiej Opery, signoro Ricardo Rufinelli'ego, który z powodu uszkodzenia nogi zmuszony był do opuszczenia desek teatralnych.

Zakład ten miał kolosalne powodzenie i przynosił dobre dochody dzięki codziennym zabawom. Uwaga przedstawiciela Towarzystwa, iż koszta oświetlenia elektrycznego winny były być znacznie wyższe, niż to wskazywał

licznik, była zupełnie słuszna. Zaznaczyć przytem należy, że w owych czasach światło elektryczne było o wiele droższe, niż obecnie, wskutek czego uważane było za przedmiot zbytku i było dostępne tylko dla wybranych. Ale w salonie i prywatnych apartamentach Cafourchona światła nigdy nie żałowano, kąpano się poprostu w kaskadach promieni elektrycznych.

I za to wszystko należało się podług licznika wszystkiego jakieś 35 franków miesięcznie.

Mechanizm licznika był wówczas zbliżony do teraźniejszych automatów telefonicznych. Była to dość duża masywna skrzynia żelazna, o wiele cięższa od obecnych liczników. Skrzynia ta miała otwór, dokąd abonent wrzucał monetę pięciofrankową. Moneta uruchamiała znajdującą się tam niewielką dźwignię i opadała na dno skrzynki. Wtedy abonent otrzymywał ze stacji ilość energji elektrycznej wartości 5 franków. Oczywiście, mógł on dowolnie przerywać dopływ prądu, gasząc lampkę. Kiedy energja elektryczna była na wyczerpaniu, należało opuścić następną monetę pięciofrankową.

Słowem, całe urządzenie było proste i praktyczne.

Oszustwo, jak się zdawało, było tu wykluczone: gdy bowiem abonent opuści, dajmy na to, zamiast monety guzik, to ten guzik pozostanie w skrzynce i będzie ujawniony przy najbliższej kontroli miesięcznej.

Skrzynka, podobna z wyglądu do niewielkiej kasy ogniotrwałej, napewno zachowałaby ślady uszkodzenia, gdyby została otworzona przez niewtajemniczonych. Otwór zaś był tak urządzony, że żadnemi wędkami ani haczykami nie udałoby się monety wyciągnąć z powrotem.

Z początku nie brak było sztukmistrzów, którzy przywiązywali monety sznurkiem, zapomocą którego wyciągali je zpowrotem. Ten dowcipny środek sparaliżowano, urządziwszy żelazną zasłonę pod otworem, dzięki czemu moneta dostawała się łatwo do skrzynki, ale nie mogła być z niej usunięta. Niezależnie od tego do pokrywy skrzynki przytwierdzano pieczęcią z laku sznurki, nie dopuszczające żadnych oszukańczych manipulacyj.

A więc, kontrola opłat za dostarczoną energję została skrupulatnie opracowana przez fachowców pod względem technicznym. Nic przeto dziwnego, że członkowie Zarządu w żaden sposób nie mogli zrozumieć, w jaki sposób zdołał ich nabrać ten zwykły chłop. Jakichkolwiek wiadomości technicznych „wuj Franciszek" napewno nie posiadał. Wprawdzie mógł on skorzystać z rad i wskazówek jakiegoś zdolnego technika lub inżyniera, ale obserwacje, uczynione przez detektywów, nie potwierdzały podobnej hipotezy. Należy więc przypuścić, że Cafourchon własnym rozumem znalazł sposób, który mu pozwolił bezkarnie okradać Towarzystwo. Ale w takim razie, gdzie pewność, że i innym abonentom podobny pomysł nie przyjdzie do głowy? A wtedy całe przedsiębiorstwo narażoneby zostało na ruinę. Obawa ogarnęła serca członków Zarządu. Za wszelką cenę należało ujawnić i usunąć zło.

Zaczęto zmieniać liczniki u „wuja Franciszka". Ale, o dziwo... te same aparaty, które funkcjonowały bez zarzutu u innych abonentów i mogły przeto służyć jako liczniki wzorowe, zawodziły w przedsiębiorstwie tanecznem, które opłacało w dalszym ciągu bezczelnie małe sumy.

Czyż należy zaznaczyć, że badano wszystkie sąsiednie ściany... Nie natrafiono jednakże na ślady tego, aby ten kombinator kradł prąd od innych abonentów.

Tak stały sprawy tego fatalnego abonenta w dniu 31 stycznia 1888 r. Kontrola miesięczna przyjęła wówczas do wiadomości znowu nieprawdopodobnie niską sumę 25 franków za cały miesiąc, — w dodatku zimowy. Zarząd — in corpore—wraz z całym sztabem techników głowił się nad rozwiązaniem swojego rodzaju kwadratury koła: prąd

otrzymać może abonent jedynie po opuszczeniu do skrzynki odpowiedniej ilości monet pięciofrankowych. W danym konkretnym wypadku Cafourchon zużył conajmniej dziesięciokrotnie tyle prądu, ile przypadałoby podług wrzuconych monet. Tymczasem nie korzystał on, jak to stwierdzono, z cudzej instalacji. A więc zmuszony był posiłkować się wyłącznie prądem własnym, kontrolowanym przez licznik. Monet zaś opuszczonych do aparatu spryciarz nie mógł również wyciągać z powrotem. A więc...?



Szacowne kolegjum, głowiące się nad tym problematem, nie mogło wymyśleć nic dowcipniejszego, jak wydelegować wykwalifikowanych fachowców — oczywiście za wysokiem wynagrodzeniem — celem dokonania technicznej ekspertyzy aparatu, będącego w posiadaniu „wuja Franciszka". Licznik, przyjmujący monety, znajdował się w pokoju kąpielowym „wujaszka" na podłodze między umywalnią marmurową a okrągłym piecem, ogrzewającym wannę. Aparat był nieuszkodzony. Również pieczęć była w zupełnym porządku. Ale 29 lutego 1888 roku w aparacie było nie więcej niż 20 franków. Cafourchon poprostu kpił sobie z daremnyc usiłowań Zarządu.

Podano skargę do prokuratora. „Wuj Franciszek" stanął z miedzianem czołem przed sędzią śledczym.

— Proszę łaski pana sędziego, chłop jestem prosty, nieuczony. Skąd tam ja do mechaniki. Albo ja się na tem znam? Może, naprawdę, te automaty kłamią. A ja skąd mogę wiedzieć dlaczego? Ja wiem jedno: jak światło gaśnie, to wrzucam monetę i basta. A że światło jakoś dłużej się trzyma, tem lepiej dla mnie. Ale ja w tem rąk nie maczałem.

— Jednakże — odparł surowym tonem sędzia śledczy — konsumowane przez pana światło przedstawia minimalnie wartość trzechset franków miesięcznie.

— Wymysły! Przysięgam, że wymysły.

— Proszę nie przerywać mi i nie kłamać. Rzecz jest mi dobrze znana. A więc — chcesz pan ukryć bezprawnie prawie całą opłatę, należną Towarzystwu?

— Ale jakim sposobem? — powtórzył „wuj Franciszek" swe odwieczne pytanie, mrużąc z przyzwyczajenia lewe oko, naskutek czego jego zmarszczona twarz, ozdobiona długim ostrym nosem, stawała się nad wyraz komiczną. — —Wszak wszystko robię, czego oni ode mnie zażądali. Stoi sobie aparat w spiżarni kuchennej. Mówią: — przenieść. Przeniosłem do wanny... Czemu nie? Z największą przyjemnością. Trzy razy zmieniano aparaty... Uczonych przysyłano do kontroli. Nic nie znaleziono podejrzanego, a tymczasem chcą ze mnie na starość uczynić oszusta. Gdybym był wiedział zgóry, tobym nie zaprowadzał tej przeklętej elektryczności. I bez niej miałem z mego za-

kładu jakie takie dochody. Tylko, że mi się zachciało być nie gorszym od ludzi... mody się trzymałem... Nie miała baba kłopotu...

— A jednak nie zrzeka się pan kontraktu. W samej rzeczy *przy ta kiej opłacie* światło elektryczne wypada taniej od gazowego.

— Nie, teraz się już nie zrzeknę, ja mam też swoją ambicję. Chcą się ze mną, ptaszki, prawować — krzyknął z patosem „wuj Franciszek", uderzywszy się ręką w bronzową aksamitną kamizelkę. — Ano, to zobaczymy, kto będzie górą. Panie sędzio! Aby przyszykować pieczyste z zająca, trzeba mieć zająca. Aby oskarżyć człowieka o oszustwo, należy wyjaśnić na czem polega to oszustwo. A pan tego nie potrafi!

— Ale, skoro pan przywłaszczasz sobie cudzą własność...

— W jaki sposób?

Zadawszy to pytanie, „wuj Franciszek" triumfował, jak zwykle, kiedy oglądał wydłużone fizjognomje urzędników elektrowni.

Znów wyznaczono tajną ekspertyzę, która jednak nie dała żadnych wyników. Wówczas sędzia, ścisnąwszy zęby, napisał decyzję o umorzeniu sprawy.

— Nic nie pozostaje nam innego, — rzekł z westchnieniem do prezesa Zarządu: — Oszust, ale nie ujawniony.

Tymczasem minął i marzec i kwiecień z takim samym śmiechu wartym wynikiem. Umowa z Cafourchonem zawarta została na trzy lata, termin zaś upływał dopiero 1 stycznia 1890 roku. Na rozwiązanie umowy nie zgadzał się abonent, zresztą była tu zadraśnięta także miłość własna Zarządu, nie mówiąc już o tem, że pozostawienie przestępstwa Cafourchona bez kary skompromitowałoby Towarzystwo.

W maju starzec zachorował na zapalenie płuc; zastępował go we wszystkiem signoro Rufinelli. Wynik był oszałamiający: w aparacie zebrało się w tym okresie miesięcznym 480 franków...

— I to na wiosnę, — narzekał dyrektor. — Tymczasem zimową porą było u niego 20 razy mniej. Mam nadzieję, że dotychczasowe wprost śmieszne cyfry więcej się nie powtórzą.

Ocze iwania dyrektora zawiodły. Wpływy stawały się coraz mniejsze, a w listopadzie znów ta bezczelna liczba 25 franków. Zdania co do fatalnego licznika podzieliły się. Znaleźli się tacy, którzy utrzymywali, że może Cafourchon jest niewinny, a sam mechanizm psuje się i dlatego podlega takim wahaniom. Inni przypisywali wszystko wyłącznie machinacjom „wuja Franciszka". Prezes był bezradny. Pewnego razu zjawił się w jego gabinecie młody elektrotechnik Alfred Cremieux.

— Panie prezesie,—rzekł,—chciałbym powiedzieć słów kilka w sprawie licznika.

Prezes był tą sprawą zmęczony i uważał wszelkie rozmowy w tej materji za przelewanie z pustego w próżne. Rzucił przeto zimne spojrzenie na młodego człowieka.

— Mój pogląd na sprawę jest takie, że rzeczywiście w czasie choroby panowanie nad mechanizmem wymknęło się Cafourchonowi z rąk. Stopniowo jednak odzyskiwał on władzę nad licznikiem i obecnie cieszy się nią w całej pełni.

— Więc cóż z tego? — zapytał obojętnie prezes.

— Zbadanie tych przyczyn może rzucić snop światła na całą sprawę.

— Ależ komisja ekspertów wróciła z niczem.

— Eksperci zbyt zajmowali się stroną techniczną, a ja uważam, że w danym wypadku doniosłą rolę odgrywają inne momenty.

— Więc jakie? — zapytał ciekawie preses.

— Na razie nie mogę na to odpowiedzieć.

— Na razie, powiadasz pan! — zerwał się z krzesła prezes. — Więc zasadniczo uznajesz pan to za możliwe?

— Nie mogę ręczyć przed zbadaniem sprawy. Ale mam nadzieję, że

uda mi się wykryć tajemnicę, o której rozwiązanie daremnie zabiegali eksperci.

— Kochany panie Cremieux, — odrzekł innym tonem prezes,—zawsze pana wysoko ceniłem. Pomimo młodego wieku awansowałeś pan na starszego elektrotechnika. Dowiedz pan, że zasługujesz na nasze zaufanie. Wybaw nas z tego galimatjasu!

Obecnie prezes miał pokorny wyraz twarzy, a Alfred Cremieux — zdawało się — urósł na kilka centymetrów.

— Pańskie warunki? — zapytał młodzieniec.

— Nie warto o tem mówić... Czyżby zarząd miał poskąpić pieniędzy, aby wybrnąć z tak śmiesznej sytuacji?

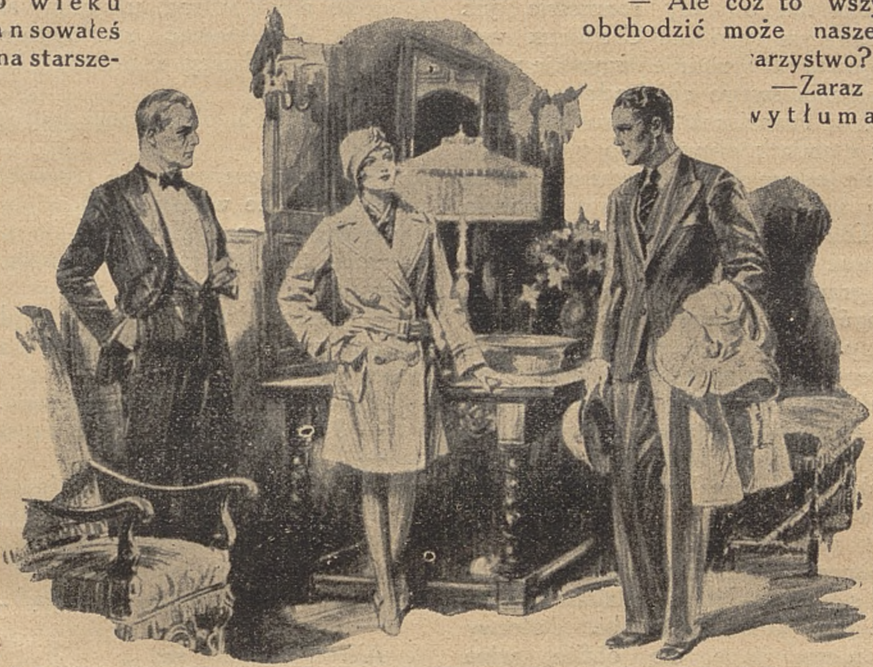
— Przepraszam, ale nie mogę się zadowolnić takiemi nieokreślonemi obietnicami. Muszę mieć 10.000 fr.

— Czyś pan sfiksował?

— Panie prezesie, takiej sumy żądają za sklep z przyborami elektrotechnicznemi. A bez tego sklepu aptekarz Grandmoussaux nie zgodzi się na mój ślub z jego siostrzenicą. Naturalnie, pana mało interesuje ten pospolity romans, ale ja jestem młody i posiadam serce.

— Ale cóż to wszystko obchodzić może nasze Towarzystwo?

—Zaraz panu wytłumaczę.



Siostrzenica moja wyjdzie zamąz za pana o ile pan zrobi karjerę w ciągu trzech miesięcy...

Na moje gorące prośby zgodził się aptekarz czekać trzy miesiące. O ile do tego czasu nie uda mi się wyrobić stanowiska, odda on swą siostrzenicę synowi pewnego fabrykanta czekolady.

— Więc cóż z tego?

— Pozostaje mi tylko jeden kwartał do zrobienia karjery; poruszę niebo i ziemię, aby zdemaskować tego szalbierza bezwarunkowo przed upływem trzeciego miesiąca, co oczywiście będzie na rękę Towarzystwu.

— To może wziąłbyś pan dajmy na to 5000 franków?

— Panie prezesie, niema dla mnie żadnego wyrachowania poświęcić swą energję dla mniejszej sumy, za którą sklepu tego nie nabędę...

Prezesowi nie bardzo się uśmiechał

ten nieprzewidziany wydatek. Siedział nachmurzony i milczał. Ale nie widząc żadnego innego wyjścia, musiał się wreszcie uchwycić propozycji Alfreda, jak tonący brzytwy, i zgodzić się na żądaną przezeń sumę.

Kilka dni po tej rozmowie już w pierwszym tygodniu Cremieux wyszpiegował skrupulatnie wszystkie przyzwyczajenia swego chlebodawcy.

„Wuj Franciszek" prowadził spokojny i umiarkowany tryb życia. Widocznie jedyną chorobliwą namiętnością starca było pragnienie wzbogacenia się... Dla kogo, po co — niewiadomo, ponieważ potrzeby starego były bardzo ograniczone, krewnych nie miał i wogóle do nikogo nie był przywiązany. Był to zupełny samotnik. Wobec tego, że na wieczorach tanecznych musiał przesiadywać do późnej nocy, wstawał zwykle dopiero po południu, pił kawę w dużej filiżance i posilał się kanapkami z mięsiwem, pozostałem z dnia wczorajszego. Następnie przerzucał gazetę i przytykając na liczydłach sprawdzał stan kasy, poczem zabierał się do drugiego sniadania. Apetyt miał solidny, chłopski. Potrawy jadał niewybredne, ale obfite, wina nie pijał. Zato wlewał w siebie kolosalne ilości zimnej jak lód wody z sokiem pomarańczowym, morelowym lub cytrynowym. Gdy śniadanie miało się ku końcowi przychodził signoro Ruffinelli celem omówienia spraw bieżących. Elektryczność zapalano wcześnie, o jakiejś godzinie czwartej. Jak widać, stary światła wcale nie żałował. Mimo całą swą namiętność do robienia oszczędności nie zakręcał nigdy lampek, wychodząc z pokoju. Czy on wrzucał monety do aparatu Alfred nie zdołał zauważyć, ponieważ drzwi do wanny osłonięte były portjerą a Cafourchon, wchodząc do pokoju kąpielowego zamykał drzwi na haczyk. Jednakże Alfred nie po to się tu znalazł, aby zkapitulować przed temi przeszkodami W godzinach porannych, kiedy gospodarz i domownicy pogrążeni byli we śnie, Alfred prześwidrował w drzwiach sporą dziurkę. Nie można jej było zauważyć z korytarza, gdyż osłaniała ją portjera. Ale i wewnątrz pokoju kąpielowego dziurka ta znajdowała się w cieniu, ponieważ lampka, która słabo oświetlała wannę, zawieszona była pod samym sufitem. Obecnie mógł Alfred, ukrywszy się za portjerą, obserwować zachowanie się swego chlebodawcy w pokoju kąpielowym.

Wyniki tych obserwacyj były zdumiewające.

— Panie prezesie, — raportował młodzieniec ze wzruszeniem w gabinecie dyrektora towarzystwa, — panie prezesie, ten łotr wrzuca monety do skrzynki!

— Jakto... wrzuca? więc gdzież się one podziewają? — odrzekł zdumiony prezes.

Alfred bezradnie rozłożył ręce.

— Nic nie kapuję, panie prezesie.

— Sameś pan widział?

—Widziałem i słyszałem! Cafourchon czyni to w pokoju kąpielowym, kiedy robi toaletę. Przez przewierconą przeze mnie dziurkę widziałem, jak wyciąga z kieszeni woreczek, wyjmuje stamtąd...

— Co wyjmuje?

Alfred zawahał się.

— Ten wydrwigrosz staje wówczas plecami do mego punktu obserwacyjnego, panie prezesie. Winienem zresztą wyłożyć panu wszystko... A więc, nie mogę ręczyć, że w jego ręku znajduje się naprawdę... moneta!

— Ale, cokolwiek to jest, musi przecież później znaleźć się w skrzynce!

— To właśnie zmusza mnie do postawienia hipotezy, panie prezesie, że właśnie wrzuca monety pięciofrankowe. Wogóle fałszerstwo byłoby tu zbyteczne, skoro on następnie wyciąga je z powrotem.

— Ale że on coś wrzuca do skrzynki, toś pan widział?

— Widziałem i słyszałem! Widziałem, że podnosi rękę do otworu skrzynki i dokładnie słyszałem brzęk monety, padającej na dno. Mogę również z całą pewnością twierdzić, że pociąga to za sobą przypływ prądu.

— Cóż robi potem ten aferzysta?

Alfred westchnął.

— Zwykle przyjmuje gorącą wannę. Ale zdarza się czasami, że wrzuca monetę dopiero po kąpieli.

Prezes zamyślił się. Po dość długiej pauzie rzekł:

— Aby wrzucić coś do skrzynki, wystarczy wprawdzie krótki moment, ale zato do wyciągnięcia zpowrotem trzeba więcej czasu. Może uda się panu zauważyć coś podobnego?

— Nie, panie prezesie! To właśnie najbardziej zbija mnie z tropu. Posuwałem się za Cafourchonem jak cień... ukrywałem się stale za portjerą... Wszak jestem jedynym lokajem do jego usług prywatnych — pozostali pracują tylko w sali tanecznej... I otóż muszę zaświadczyć: ani razu w ciągu całego miesiąca nie zauważyłem, aby on wykonywał przy aparacie jakiekolwiek podejrzane manipulacje.

— Pierwszy miesiąc już się kończy. Zużył pan trzecią część swego terminu. W ten sposób nie posunęły się naprzód ani sprawy pańskiego serca ani Towarzystwa.

— Być może, że na przyszłość będę szczęśliwszy.

— Ale ze swej strony zrobimy jeszcze coś — powiedział prezes — skoro, sądząc z pańskich słów, Cafourchon jednak wrzuca coś do skrzynki, postaramy się, aby bezwzględnie nic nie mógł stamtąd wyciągnąć.

— Przecież już zdawna przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności. Chociaż, zresztą, czy można być zupełnie pewnym co do pieczęci i laku, panie prezesie?

— Badano je starannie za każdym razem: były zawsze w porządku.

— A czy niemożliwa jest jakaś kombinacja z jego strony pod tym względem?

— Daj pan spokój! Gdyby można było pieciątkę z laku zamienić na inną, to jak wyglądaliby wówczas wszyscy wierzyciele i komornicy? Żaden odcisk na laku nie jest identyczny z drugim. Weźmy chociażby brzegi stempla, gdzie lak rozpływa się w sposób najbardziej kapryśny. Sto razy można przyłożyć stempel i sto razy otrzymamy odmienną linję krążka. Podrobić tego nie można. Następnie w samym odcisku powstają zwykle różne niedokładności... tu odbije się kiepsko jedna litera, tam druga. Tego wszystkiego nie można podrobić. Zresztą skrzynka sama posiada przecież do stu piorunów, tajemny zamek! Widzi pan, że w stosunku do tego łotra przyjęliśmy potrójne środki ostrożności. I mimo to wszyscy kpią z nas, że on tak nabiera elektrownię.

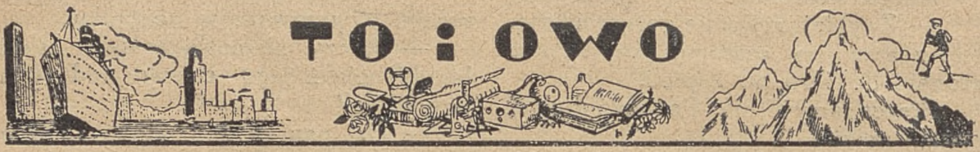
Na policzki prezesa wystąpiły rumieńce. Alfred pojął, że bezpieczniej będzie przerwać rozmowę, i po złożeniu głębokiego ukłonu opuścił gabinet prezesa.

W sercu młodego elektrotechnika tliła się iskra nadziei, że być może starzec zaprzestanie wreszcie swych kawałów i zacznie wrzucać monety sumiennie. Kto wie, czy on się czasem nie domyśla, że jest śledzony. Być może, że przy kontroli się wyjaśni, iż misja Alfreda nie była bezowocna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW

W NASTĘPNYM NUMERZE „MOJEGO PRZYJACIELA“ BĘDZIE WYDRUKOWANY DALSZY CIĄG TEJ NOWELI, JEDNAK BEZ OSTATNIEGO (KOŃCOWEGO) ROZDZIAŁU. ROZWIĄZANIE TAJEMNICY „WUJA FRANCISZKA“ POZOSTAWIMY DOMYŚLNOŚCI NASZYCH CZYTELNIKÓW. ZA NAPISANIE NAJLEPSZEGO I NAJBARDZIEJ DOWCIPNEGO ZAKOŃCZENIA TEJ NOWELI PRZEZNACZYMY DWIE PREMJE: I-a, **150** ZŁ., II-ga — **50** ZŁ. SZCZEGÓŁOWE WARUNKI TEGO LITERACKIEGO KONKURSU BĘDĄ PODANE W NAST. NUMERZE NASZEGO PISMA WRAZ Z DALSZYM CIĄGIEM NOWELI.



Jak wygląda życie na Marsie?

Czy na Marsie znajdują się żywe istoty? Oczywiście, niema na to jeszcze sprawdzonej odpowiedzi. Lecz amerykański astronom, profesor Low, przypuszcza, że Mars jest zaludniony. Nie poprzestając na tem przypuszczeniu profesor Low daje wyraz poglądom, które zdumiewają swą fantastycznością. Wydałyby się one nam może naiwne, gdyby ich autorem nie był sławny uczony, dyrektor jednego z najpoważniejszych obserwatorjów świata.

Zdaniem profesora, wszechświat jest pełen życia w każdym punkcie. — Narazimy się na kpiny, — mówi astronom amerykański, — jeśli zechcemy przekonać człowieka niewykształconego, że szklanka wody żyje. A przecież w wodzie tej znajdują się miljardy stworzonek, które poruszają się i żyją. Wychodząc z tego założenia, musimy się przyzwyczaić do myśli, że i na Marsie wre życie. „Nie dziwiłbym się, — powiada profesor Low, — gdyby się okazało, że pojęcie czasu na Marsie nie odpowiada naszym pojęciom, i że stuletnie kobiety uchodzą tam za podlotków. Nie jest wykluczone, że marsjanie mają z naszego punktu widzenia gigantyczne głowy, szczuplutkie ciało i nie posiadają kończyn.

Nie byłoby nic dziwnego w tem, że żywią się mieszkańcy Marsa bakterjami z powietrza. Nie byłbym też przerażony, gdybym się dowiedział, że głowa marsjanina osadzona jest na śrubach i że można ją dowolnie odkręcać i przenosić na inne ciała. W ten sposób zostałby osiągnięty idealny stan, dzięki któremu zgromadzone przez pewien mózg wiadomości nie ginęłyby wówczas, gdy reszta ciała, dajmy na to — żołądek, przestaje prawidłowo funkcjonować. Zniszczony tułów się odrzuca, zaś głowę „przesadza" się na inne zdrowe ciało. Uważam też za możliwe, iż nasi sąsiedzi z Marsa posiadają możność wpompowania za pomocą elektryczności wielu pożytecznych wiadomości do mózgu noworodka. Być może, iż oczy marsjan stworzone są w ten sposób, że reagują na fale elektryczne? W każdym razie nie należy przypuszczać, iżby na Marsie przeważać miała jedna płeć (np. żeńska) nad inną".

Niesamowita statystyka.

Jak wiadomo obradowano niedawno w Genewie nad powszechnem rozbrojeniem, nad tem, aby w miarę możności, nie dopuścić do wybuchu wojny. Oczywiście, gdyby wszystkie państwa się rozbroiły, toby tem samem sprowadzono niebezpieczeństwo wojny do minimum, bo gołemi rękoma, lub gumowemi pałkami trudno byłoby stoczyć prawdziwą walkę.

Tęsknota za pokojem powszechnym była zdawna ulubionem marzeniem proroków, myślicieli i poetów, że wspomnimy tylko Jeremjasza, Kanta i Mickiewicza. A w jakich grozą przejmujących słowach opisuje tę plagę ludzkości Kamil Flamarjon! Militaryzm jest podług niego obłędem ludzkości, zamieszkującej tę małą, oprysklіwą planetę, krążącą odwiecznie między Marsem a Venus.

Sam wiek XIX pochłonął w Europie do 20 miljonów, w innych częściach świata nie mniej, a więc razem około 40 miljonów ludzi w ciągu jednego tylko stulecia. Niemniej krwawemi okazały się i wieki poprzednie, przyczem dla całego historycznego okresu ludzkości przyjmuje znakomity astronom francuski miljard dwieście miljonów zabitych, i to tylko do końca wieku XIX. Ile krwi przytem upłynęło! Gdyby z rzeki jakiejś wypompowano wodę, a do próżnego koryta krew ta spłynęła, to przy prądzie średnio 100 m.³ na sekundę, przyglądalibyśmy się ustawicznemu biegowi tej krwi w ciągu 48 godzin. A gdybyśmy tę krew zmierzyli, otrzymalibyśmy 18 miljardów litrów. Szkielety zaś, w liczbie 1,200,000,000, ustawione

jeden na drugim, utworzyłyby drabinę, któraby dosięgła księżyca, okrążyłaby go i podnosząc się w dalszym ciągu, strzelłaby w przestrzeń nieskończoną aż do wysokości przeszło 20 miljonów kilometrów. Aby przekonać nas o ogromie ofiar dorzuca nam Flamarjon jeszcze jeden obraz. Napełnijmy trupami, które padły na wojnach, kanał La Manche przy Pas de Calais. Utworzyłby się znakomity most między Francją a Anglją, od tak dawna pożądany, przyczem jednocześnie wał oddzieliłby ocean od Morza Północnego. Głowy zaś poległych, ułożone rzędem jedna na drugiej, utworzyłyby naszyjnik, któryby 6 razy otoczył kulę ziemską.

Ponieważ stulecie ma tylko 36525 dni, więc aby zniszczyć 40 miljonów, tnie się przeciętnie 1100 osób na dobę, czyli prawie 1 osobę na minutę. Wszystkie dane, na których się opierał Flamarjon, nie wychodziły po za koniec XIX stulecia. Wielki uczony nie przewidział wybuchu wojny światowej 1914—1918 r., która pochłonęła więcej ofiar w ludziach i zniszczonych dobrach, niż wszystkie wojny europejskie zeszłego wieku razem wzięte.

Elektryczne gospodarstwo na wsi.

Do jakiego stopnia rozwoju doszło obecnie gospodarstwo wiejskie, stwierdzić można było na wystawie w Brnie na Morawach, gdzie jako eksponat zostało wystawione całe gospodarstwo zelektryfikowane, zagroda rolnika gospodarującego na 120 hektarach ziemi.

Myślą przewodnią przy organizacji tego wzorowego gospodarstwa było wykorzystanie wszystkich zdobyczy nowoczesnej techniki celem ułatwienia zmechanizowania najdrobniejszych nawet szczegółów pracy, dążenie do higjeny i wogóle dania wsiom takiego komfortu życia i pracy, z jakiego korzystali dotychczas (i to jeszcze nie wszędzie) mieszkańcy miast...

Wynikiem tych dążeń jest wybudowanie wymienionego „cudownego gospodarstwa", będącego jedną z najciekawszych i najbardziej pouczających atrakcji wystawy w Brnie.

Niewysoki, jednopiętrowy dom stoi przy wejściu do gospodarstwa. Wybudowany jest w prostych linjach architektonicznych. Jest to dom mieszkalny szczęśliwego gospodarza. Naprzeciw domu, do którego jeszcze powrócimy, jest kancelarja, dalej szopy dla maszyn rolniczych i wszelkich przyrządów. Są tu wszystkie maszyny, jakich używa się w gospodarstwie, od sieczkarni do młockarni, od taczki do wielkiego wozu ciężarowego. Wszelkie maszyny pędzone są prądem elektrycznym. Jedynie pługi i maszyny pracujące nie na podwórzu, a w polu, poruszane są najnowocześniejszemi motorami. Nawet drzewo rąbie się w tem gospodarstwie siekierą elektryczną.

Stodoła jest ostatnim wyrazem techniki budowlanej, posiada cały szereg urządzeń, ułatwiających gospodarzowi pracę przy młóceniu i t. p.

„Clou" wszystkiego jest kuchnia, gdzie zaczynając od pieca a kończąc na maszynkach do strugania ziemniaków, krajania chleba, konserwowania owoców i t. d. — wszystko poruszane jest elektrycznością. Gospodyni w domu musi tylko uważać na system kontaktów i kierować pracą maszyn —wszystko inne zrobi za nią prąd elektryczny. Nawet naczynia kuchenne zmyje aparat elektryczny specjalnie skonstruowany...

W innych ubikacjach tego wiejskiego domu przyszłości znajdują się elektryczne odkurzacze, zegary elektryczne, piece elektryczne i t. d. i t. d.

W budynku sąsiadującym z budynkiem mieszkalnym jest elektryczna wylęgarnia dla drobiu, przyrządy do wyrabiania sera i t. p. Dalej obory, w których na uwagę zasługuje przedewszystkiem przyrząd elektryczny do dojenia krów, dalej maszyna do suszenia siana, sklepy z chłodniami elektrycznemi i t.d.

Przyjechał na własny grób.

Niejaki Karahalas, kupiec z Bostonu przyjechał do Francji ażeby popatrzeć, jak wygląda jego własny grób. — Był on w roku 1917 w szeregach koalicyjnych i został ranny w lesie Belleau. Przez pomyłkę zapisano jego nazwisko na liście poległych i postawiono mu krzyż na pamiątkę. Kiedy się Karahalas z pism amerykańskich dowiedział, że posiada we Francji swój własny grób z krzyżem i napisem, wybrał się do Paryża, aby na własne oczy zobaczyć ten ciekawy pomnik.

15.000 kilometrów konno.

Do Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. przybył Argentyńczyk Feliks Tschiffley, który wyruszył w 1925 roku z Buenos Aires konno naokoło Ameryki. Tschiffley przebył dotąd na siodle 15.000 km. Wytrwały sportsmen nie stara się o pobicie żadnych rekordów, ale podróżuje dla własnej przyjemności i utrzymuje się w drodze z odczytów, wygłaszanych o Południowej Ameryce. Tschiffley prowadzi ze sobą dwa konie zapasowe. Ciekawe, iż Tschiffley nie wjeżdża nigdy konno do miasta, ale zostawia swych towarzyszów podróży u rogatek, by nie psuć koniom kopyt miejskim brukiem.

Ofiary dzikich zwierząt.

Ukazała się statystyka urzędowa, dotycząca Indyj angielskich, z której m. in. wynika, iż w roku ubiegłym ofiarą dzikich zwierząt drapieżnych w Indjach padło 22.000 osób. Z tego 20 tysięcy wypadków śmiertelnych spowodowanych zostało przez ukąszenie jadowitych wężów. 2.300 osób zaś zginęło w paszczy tygrysów, lampartów, wilków, hien, krokodyli, szakali i t. d. Rząd wypłacił w roku ubiegłym około 10 tysięcy funtów szterlingów jako premje za zabite zwierzęta drapieżne. Tak zostało zabitych w roku ubiegłym 57 tysięcy wężów jadowitych i 1.400 tygrysów.

Jak długo trwa dzień?

Jeśli się mówi o najdłuższym dniu, należałoby właściwie zaznaczyć, jaki kraj ma się na myśli, gdyż długość dnia jest w poszczególnych krajach różna.

Np. w Sztokholmie najdłuższy dzień trwa 18 i pół godzin a na Szpicbergu 3 i pół mies. W Londynie i w Bremie najdłuższy dzień trwa 16 i pół godzin W Petersburgu i Tobolsku (Syberja) najdłuższy dzień trwa 16 godzin a najkrótszy 6 godzin. W Torneo (Finlandja) dzień 21 czerwca trwa prawie 22 godzin a dzień Bożego Narodzenia nie całe trzy tygodnie. W New-Yorku najdłuższy dzień trwa 15 godzin a w Montrealu (Kanada) 16 godzin. W Vardoe (Norwegja) najdłuższy dzień trwa bez przerwy od 21 maja do 22 czerwca, czyli cały miesiąc.

Cenne książki.

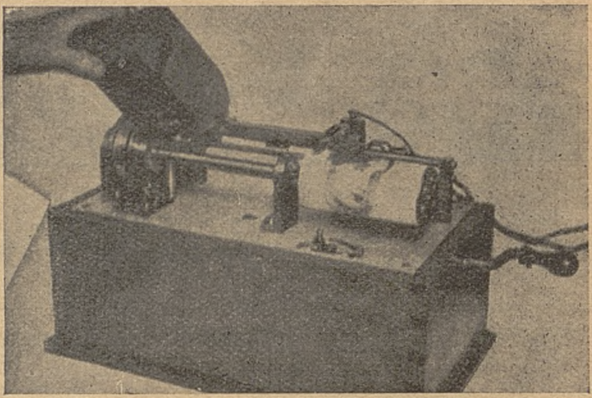
Zmarły w roku ubiegłym William White w Nowym Jorku zapisał w testamencie swój nadzwyczaj cenny zbiór dzieł Szekspira uniwersytetowi Harvarda. Zbiór ten obecnie przeniesiono z mieszkania prywatnego rodziny White do bibljoteki uniwersyteckiej pod osłoną straży uzbrojonej w broń palną. Wartość dzieł Szekspira zapisanych uniwersytetowi w Harvard przez W. White wynosi blisko cztery i pół miljona złotych polskich. W księgozbiorze tym znajduje się drugie wydanie dzieła „Romeo i Julia" z roku 1599, pierwsze wydanie dzieła „Daremny trud" z roku 1598 i „Wiele hałasu o nic" z roku 1600, z których istnieje bardzo mało egzemplarzy.

Uniwersytet Harvarda posiada po przejęciu tego księgozbioru obecnie więcej aniżeli połowę wszystkich dramatów Szekspira wydanych przed rokiem 1640 i 18 egzemplarzy dzieł ogłoszonych w latach od 1640 do 1703.

Proces trwający 116 lat.

Niedawno został zakończony polubownie najstarszy chyba proces na świecie, bo trwający od 1812-go roku, czyli przez 116 lat. Przed rozpoczęciem wojny w 1812-ym r. rząd amerykański zajął szkuner „Lord Nelson", będący prywatną własnością niejakiego Janeesa Crooksa. Wkrótce potem „Lord Nelson" został zatopiony Właściciel wniósł przeciw rządowi amerykańskiemu skargę o odszkodowanie w wysokości 2.999 dol. Rozpoczął się proces, który ciągnął się przez całe 116 lat i kto wie, kiedy zostałby wreszcie zakończony, gdyby rząd waszyngtoński, znudzony widocznie przewlekłym sporem o parę tysięcy dolarów, nie zgodził się wypłacić odszkodowania w wysokości 23.644 dolarów. Spadkobiercy zgodzili się na tę sumę, choć podobno, gdyby się uparli i wygrali sprawę, to rząd Stanów Zjednoczonych musiałby im wypłacić odszkodowanie z procentami za 116 lat, a procenty od 2.999 dolarów przez 116 lat wyniosłyby sumę ponad 14.000 000 dolarów

Postępy radja.



Aparat radj.wy odbierający ilustracje.

Zdaje się, że pochód telautografji, t. j. nadawania obrazów na odległość rozpoczął się na dobre. Pod tym względem przeżywamy nową erę: tak jak w roku 1924 byliśmy świadkami pochodu radjofonji, tak teraz nowy cud techniki zaczyna się na naszych oczach.

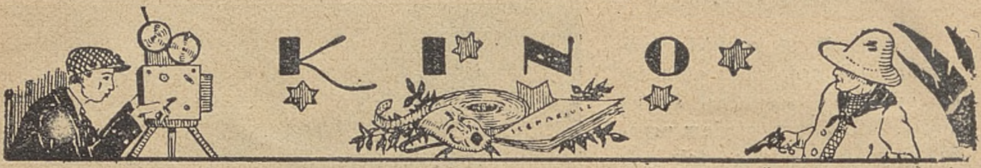
Pięć największych amerykańskich stacyj nadawczych z Nowym Yorkiem na czele rozpoczęły nadawanie ilustracyj. W Europie: Berlin, Wiedeń, Kopenhaga są już przygotowane technicznie i mogą nadawać ilustracje dla radjoamatorów, tak, jak narazie dla prasy nadają. Na umieszcz nym obok rysunku widzimy nieskomplikowany przyrząd, mogący być dostosowany do każdego aparatu odbiorczego i umożliwiający odbieranie ilustracyj.

Wogóle postęp radjofonji kroczy obecnie gigantycznemi krokami.

W najbliższym czasie powstanie szereg nowych radjostacyj nadawczych w różnych państwach. Tak więc francuskie towarzystwo broadcastingowe zamierza zbudować stację w pobliżu Lyonu, Włosi chcą zbudować stację w pobliżu Genui, angielskie towarzystwo podejmuje niebawem budowę nowych stacyj w okolicy Londynu, w Cardiff, Glasgowie, Manchestrze, Belfaście. Szwedzi projektują 10 kw. stację w Trörby, rząd norweski zas rozpoczął już budowę drugiej stacji w pobliżu Oslo, która będzie wysyłać audycję na fali 461,5 m., a więc na tej samej, co dotychczasowa stacja w Oslo. Nawet rząd Paragwaju buduje stację nadawczą w Asuncion.

„Gorączka budowlana" jak się okazuje jest chorobą zakaźną i udziela się niekiedy osobom wcale nie powołanym do „twórczości" w tej dziedzinie. Oto naprz., jakaś tajemnicza radjostacja nadawcza w Rewlu nadawała regularnie od r. 1927 muzykę gramofonową, odczyty i biuletyny prasowe. Władze estońskie znalazły się z tego powodu w niemałym kłopocie, gdyż przez długi czas mimo starannie przeprowadzonego śledztwa nie mogły wykryć, gdzie stacja jest ukryta i kto jest jej właścicielem. Speaker zapowiadając audycje, anonsował stację hasłem: „Hallo, hallo, stacja nr. 4." Ostatnio jednak udało się policji wykryć siedzibę nielegalnej stacji i jej właścicieli, dwóch 18-letnich młodzieńców, którzy potrafili zbudować doskonale działający aparat nadawczy z zasięgiem do 40 kilometrów. Jako lampa nadawcza służyła zwykła lampa aparatu odbiorczego, zwyczajny głośnik pełnił z powodzeniem rolę mikrofonu. Policja, podziwiając wynalazczość młodzieńców, wymierzyła im łagodną karę w postaci ostrego napomnienia.

W ostatnim numerze „Tygodnia Radjowego", skąd zapożyczyliśmy przytoczone wyżej wiadomości, znajdujemy jeszcze ciekawą wzmiankę o falach wysyłanych z dna morskiego. Francuzi przeprowadzają obecnie bardzo ciekawe próby wysyłania fal krótkich z dna oceanu. Fale, wysłane przez łódź podwodną z dna Zatoki Biskajskiej, były podobno chwytane w Holandji.



CZŁOWIEK ŚMIECHU.

ŻYCIORYS CHARLIE CHAPLINA.

— Ukłony od Mary!...

— Od jakiej Mary?... Nie znam żadnej Mary...

— ...Od Mary Pickford... Wczoraj uśmiechnęła się do mnie z ekranu...

* *
*

— Wiesz, Douglas Fairbanks mówi, że...

— Pewnego wieczoru Buster Keaton...

* *
*

Naiwna chęć zaimponowania przygodnym słuchaczom bliską znajomością szczegółów z życia bohaterów filmu, która daje się często zaobserwować zwłaszcza u młodzieży, staje się poniekąd zrozumiała, skoro zważymy, z jakiem zaciekawieniem przyjmują zwykle słuchacze wszelkie nowiny dotyczące ulubionych gwiazd ekranu.

* *
*

Zaspokojenie tej ciekawości nie jest rzeczą zgoła łatwą o ile chodzi naprzykład o Charlie Chaplina, który wprost barykaduje się przed wszelkiemi wywiadami prasowemi.

To też choć wiele się już o tym najgenjalniejszym artyście naszego wieku czytało, naprawdę jednak nie wiele o nim posiadamy do dziś dnia rzeczywiście autentycznych danych.

Nie wiadomo w murach jakiego miasta się urodził, niema również pewności jaki kraj jest jego ojczyzną.

Sam Chaplin twierdzi, iż jego rzeczywistą ojczyzną jest cały świat jak długi i szeroki.

Wprawdzie kilkakrotnie zwierzył się półżartem, iż pochodzi z Francji i że światło dzienne ujrzał po raz pierwszy w Fontainebleau. Zgoła odmiennie twierdzi jednak jego były „manager" obecnie osobisty przyjaciel i współpracownik Alfred Reeves. Ten ostatni dowodzi, iż Charlie Chaplin urodził się dnia 16 kwietnia 1889 r. w Londynie.

Ta ostatnia wersja jest najbardziej prawdopodobna, choć kto wie, może Reeves niesłusznie przypisuje swojej ojczyźnie zaszczyt wydania tak wybitnego artysty.

* *
*

Tylko bardzo powierzchownych ludzi poznać można gruntownie. Chaplina nie znają nawet najbliżsi z jego otoczenia. Podlega on nieprawdopobnie częstym zmianom nastroju. Jedno tylko jest bezsprzecznie pewne: niechybnie wyrzuci każdego kto mu przeszkodzi w pracy. Poza tem jednak, nie można nigdy przewidzieć w jaki sposób zareaguje na to lub na owo.

Wyglądem zewnętrznym nie różni się Charlie Spencer Chaplin, 39 letni mężczyzna o włosach siwiejących nieco na skroniach, o zamyślonem spojrzeniu, od przeciętnego, średniozamożnego mieszczucha.

Dziwne są natomiast tylko włosy Chaplina. Kolor ich jest równie zmienny jak jego usposobienie. Podobnie jak łatwo i niespodziewanie przechodzi Chaplin z głębokiego zamyślenia do hałaśliwej wesołości — i naodwrót, — po wybuchach dobrego humoru zasępia się ponuro, — tak zmienny jest również kolor jego włosów.

Zazwyczaj są one szare o srebrzystym cokolwiek połysku. Gdyby Charlie ich nie farbował wypadłyby na filmie biało i nikt nie śmiałby się chyba na widok siwego, błaznującego starca. To też Chaplin przed zdjęciami farbuje zawsze włosy na czarno.

Po paru dniach farba zatraca swój jednolity odcień i wówczas fryzura Chaplina pstrzy się od najrozmaitszych kolorów tęczy. Charlie nie bierze tego do serca i w „bajecznie kolorowej" fryzurze paraduje aż do następnych zdjęć.

Wszelkie zabiegi kosmetyczne, dotyczące fryzury, wykonuje Charlie sam osobiście, nader troskliwie i starannie. Zabiegi te jednak nie mają nic wspólnego z robieniem się „na ładno".

Wolny od zajęć czas poświęca Chaplin na opracowanie nowych pomysłów, których jest wybrednym i surowym krytykiem. Wiele wymaga od współpracowników, najwięcej jednak od siebie.

* * *

Najprawdopodobniej ród Chaplina wywodzi się od jednego z synów Noego. Nie posiadając jednak żadnych danych o dwudziestu kolejnych pokoleniach, ograniczymy się na stwierdzeniu, iż rodzice Chaplina byli aktorami, jak również aktorami byli jego dziadkowie.

Sam Charlie od najwcześniejszego dzieciństwa pozostawał w bezpośrednim kontakcie z kulisami teatru. Jego pierwsze sceniczne występy sięgają okresu niemowlęctwa.

Charlie nie posiadając jeszcze żadnych zdolności, w tem nawet zdolności utrzymania się na własnych pałąkowatych nieco nóżkach, wystąpił po raz pierwszy ze swą mamą, która zaprezentowała go publiczności w jednej ze sztuk, wymagającej obecności dziecka na scenie.

Niestety — kilkomiesięczny Charlie, zbyt mało wtajemniczony w przepisy sztuki scenicznej popełnił niedorzeczność. Zachował się bowiem na scenie w ten sposób, w jaki się zachować nie należało, dokumentując aż nazbyt plastycznie całkowitą autentyczność swojego dzieciństwa.

Niefortunny debiut zdyskwalifikował go jako aktora na lat kilka. Rodzicielka Chaplina, zrozpaczona nie tyle może pogwałceniem tradycyjnych zasad starej angielskiej szkoły dramatycznej, ile kompletnem zniszczeniem kosztownej sukni, zrezygnowała na czas dłuższy z doświadczeń nad zdolnościami dramatycznemi synalka.

* * *

Ojciec Chaplina występował w teatrze „Musical Comedies", matka zaś w zespole trupy operowej „Gilberts and Sulivan". Oboje wierzyli święcie w wielką karjerę czekającą ich syna.

Ojciec nie doczekał się triumfów Charliego. Zmarł, gdy przyszły miljoner był jeszcze nieomal w powijakach.

Pomimo wytężonej pracy i niezłych warunków głosowych, matka sieroty nie zdołała zarobić tyle, by wystarczyło na specjalnie staranne wykształcenie małego Charlie.

Malec chował się prawie samopas. Jego przedziwnym światem, pełnym wszelkiego rodzaju niezliczonych tajemnic, były kulisy teatrów, w których występowała jego matka.

Tu bawi się zbędnemi rekwizytami, szmatkami i świecidełkami, pozostałemi po zniszczonych strojach teatralnych. Tu wreszcie uczy się poznawać ducha przybytku sztuki.

* * *

Sześć lat z okładem trwał urlop sceniczny małego Karolka, gdy wreszcie nadszedł dzień, w którym zadebiutował wraz z siedmioma kolegami w numerze tanecznym.

Zkolej występował jako mały chłopiec w sztuce detektywno-awanturniczej p. t. „Scherlok Holmes“ i wielu innych. Na scenie nie ciesył się jeszcze wówczas zbytniem powodzeniem, zato podczas antraktów popisywał się ku ogólnemu zadowoleniu, znakomicie naśladując popularnych aktorów.

Rozbawiona publiczność darzyła utalentowanego chłopca łakociami i drobną monetą, śmiejąc się serdecznie z jego poważnych min i bohaterskich póz.

Tu jednak zachodziło coś co było zgoła niezrozumiałem dla otoczenia. Rzecz w tem, iż życzliwe zachowanie się rozbawionej publiczności drażniło aktorską ambicję małego.

Grając z przejęciem, oczekiwał krańcowo innego efektu. Pragnął, by sceny, w których świetnie naśladował znakomitych tragików, wywołały te same wzruszenia, jakich doznawała publiczność słuchając owych filarów teatru.

Wykonywał identyczne ruchy, identycznie recytował, wznosił dłonie ku górze, przymykał oczy, to znów był zgniewany, groźny — a publiczność śmiała się tylko, śmiała do rozpuku...

Zbyt mały był jeszcze, by mógł zrozumieć, iż brzdąc choćby najlepiej naśladujący starszych aktorów — musi wywołać śmiech.

Kiedy wreszcie pojął to, wytężył swoje wysiłki by opanować role małych chłopców. Idąc w tym kierunku nie potrafił zatrzymać się na właściwem miejscu. Przeholował, „popadł w dzieciństwo“. Naśladując dzieci znacznie od siebie młodsze wyglądał niemniej śmiesznie niż przy naśladowaniu dorosłych.

I w małym kandydatku na wielkiego człowieka zrodził się pierwszy, bolesny smutek...

* * *

Nieomal aż do pełnoletności grywa Charlie Chaplin w rozmaitych teatrach angielskich: występuje w pantominach, kreuje świetnie podpatrzone role pijaków

Mając lat 20 dostaje są do wielkiej podówczas imprezy artystycznej— teatru wędrownego Freda Karno.

Wraz z całym zespołem odbywa tournée po wszystkich niemal „Music Hallach“ Europy i wreszcie w 1910 r. — w którym kończy 21 rok życia — udaje się do Stanów Zjednoczonych. Chaplin idzie na spotkanie przeznaczenia.

* * *

Po raz pierwszy w życiu zetknął się Chaplin z kinem, a właściwie z jego pierwocinami, oglądając jedną z komedji „Biographu“ — najstarszej wytwórni amerykańskiej. O filmie artystycznym w całem słowa tego znaczeniu nikt jeszcze wówczas nie śnił nawet.

Film z owych czasów był luźnym prawie zlepkiem najrozmaitszych bijatyk, pościgów, przewracania się i t. p. Jednym strzałem zabijał bohater otaczających przeciwników, przyczem nieboszczyków budzono... pompką od roweru...

„Dzieła“ te bez odrobiny logiki, bez żadnego sensu, bez żadnej zgóry przewidzianej treści traktowały aktora jako coś w rodzaju rekwizytu.

Chaplin przyglądając się z zaciekawieniem żywym poruszającym się obrazkom zapalił się do zrobienia własnego „filmu“.

Zmobilizował cały posiadany przez się kapitał w sumie około 1000 dolarów, drugie tyle zaofiarował Alfred Revees. Za te pieniądze postanowił Chaplin kupić aparat filmowy i kręcić pantominy.

Kino podziałało na Chaplina podobnie jak dziś oddziałowuje na tysiączne rzesze miłośników: — nieodparcie.

Zawrotne, szalone perspektywy migały w jego wyobraźni.

Na szczęście tak się złożyło, iż nie kupił wówczas aparatu i nie skręcił ani jednego metra cierpliwej taśmy filmowej.

Nie miał bowiem pojęcia o wymogach i specyficznych zasadach i właści-

Dwaj rywale.



wościach filmu. Jako zupełny dyletant skręciłby parę pantomin i zniechęcony bezwzględnem niepowodzeniem dałby spokój filmowi.

Z wielkim jak na aktora „Music Hallu" powodzeniem występował jeszcze jakiś czas w Ameryce. Charlie jednak nie przestawał marzyć o karjerze filmowej.

Wszechwładny przypadek odegrał decydującą rolę.

Pewnego wieczoru przybył za kulisy teatru t. zw. „menager of publicity" wytwórni filmowej „Keyston Bee Companie" w New - Yorku, pytając, czy nie występuje w danym zespole aktor nazwiskiem „Caplin".

— Caplin nie występuje. Natomiast nazwisko Chaplin nosi jedyny syn mojego ojca... — odparł zapytany Charlie.

— Nie, to nie pana miał na myśli nasz dyrektor, polecając mi wyszukać Caplina. Tamten wygląda zupełnie inaczej...

Tu opisał Chaplinowi jak powinien wyglądać poszukiwany. Chaplin bez słowa skoczył do garderoby i za chwilę stanął przed osłupiałym „menagerem" w swoim galowym stroju: w pogiętym meloniku, obszernych pantalonach, zdradzających wyraźne tendencje do wyemigrowania z miejsca dotychczasowego pobytu, w olbrzymich, odwróconych od siebie, jakgdyby w zażenowaniu, buciskach i z nieodstępną trzcinową laseczką.

— Ooo... tego właśnie huncwota szukam od szeregu miesięcy... — zawołał uradowany menager.

W parę godzin później podpisał Charlie Chaplin swój pierwszy kontrakt z wytwórnią filmową, bez żalu porzucając deski sceniczne.

* * *

Pierwsze wystąpienia Chaplina w filmach nie cieszyły się zbytniem powodzeniem.

Słynny krytyk i odkrywca wielu talentów Mack Sennet powątpiewał,



Oo dwaj zakończyli swą kar'erę bokserską: zarówno Dempsey, studjujący obecnie role filmowe pod kierownictwem swej żony, zn nej artystki, jak i Tunney, ściskający serde zni: dłoń swego manażera, Texa Rickarda, przed rozpoczęciem nowej karjery... handlowej.

by Cha lie kiedykolwiek osiągnął znaczniejszy sukces na ekranie.

— Nie jest materjałem na aktora filmowego — stwierdził z zabójczem przekonaniem.

Charlie gra jakiś czas w komedyjkach „Keyston Bee C-ie" później dla „Esseney" w Chicago, dla „Mutual" w Kaliforoji.

64 komedyjki wyprodukowane w ciągu niespełna 5 lat pracy, mimo ich małej wartości artystycznej, dały Chaplinowi pewien rozgłos.

W październiku 1917 roku zostaje zaangażowany przez wielką wytwórnię „First National Pictures" za olbrzymią, jak na Chaplina z owych czasów, sumę miljona dolarów za osiem filmów.

Praca dla „First National Pictures" rozpoczyna właściwie olśniewającą karjerę Chaplina.

* *
*

Pierwszy film dla „First National" p. t. „Psia dola" zdobywa dla Chap ina powszechne uznanie.

Zkolei idą mało u nas znane „Charlie żołnierzem" („Sch lder Armes") i „Dzień przyjemności" („A day's pleasure"). W międzyczasie Stany Zjednoczone wypowiadają wojnę Niemcom. Pracując w dziale propagandy społecznej poznaje się Chaplin z Mary Pickford i Douglasem Fairbanksem. Po ukończeniu wojny, wraca Charlie do przerwanych zajęć.

Szuka pomysłu do nowego filmu. Przypadkiem poznaje małego chłopca Jackie Coogan'a podróżującego „gratis pod ławką" z rodzicami, również wędrownymi artystami. Charlie zwraca uwagę na niezwykłe zdolności mimiczne chłopca. Malec natchnął go pomysłem do stworzenia pięknego filmu demonstrowanego u nas p. t. „Brzdąc".

Film ten obdarzył Coogan'a sławą światową i majątkiem, a Chaplina wyniósł na szczyty karjery.

„Brzdąc" jest linją rozgraniczającą w pracy Chaplina okres poszukiwań od świadomego kierunku artystycznego. Jest zemstą za wszystkie rozczarowania, jakich doznał w okresie chłopięcym — gdy napróżno usiłował naśladowaniem wielkich aktorów wzruszyć widzów i przemówić do ich uczucia.

* *
*

Na dalekich śnieżnych przestrzeniach, wśród zasp, posuwa się mały, źle odziany, bezbronny człowieczek. I powszechnie zrozumiałą filmową mową szepcze do nas:

— Idę szukać szczęścia... źle mi na świecie... gdy zginę nikt za mną nie zatęskni, nikt nie zapłacze... a może znajdę tu okruch szczęścia... może...

Widzowie się śmieją.

Czy to nie komiczne?!!!

* *
*

Niezdarny człowieczek o dobrem, szlachetnem sercu uwierzył, że jest kochany.

Uwierzył że jest wreszcie komuś potrzebny, że świat jest piękny i że naprawdę warto żyć.

Niezdarny człowieczek, który śmieszy mimowoli...

Widzowie umierają ze śmiechu...

* *
*

Kiedyś gdy Muza Filmu szerzej jeszcze rozewrze ramiona, gdy jeszcze bardziej zespoli się z duszą ludzi, gdy srebrne ekrany w domach pałacach w miastach-ogrodach zabłysną najcudowniejszemi arcydziełami, zapłaczą ludzie oglądając film Charlie Chaplina.

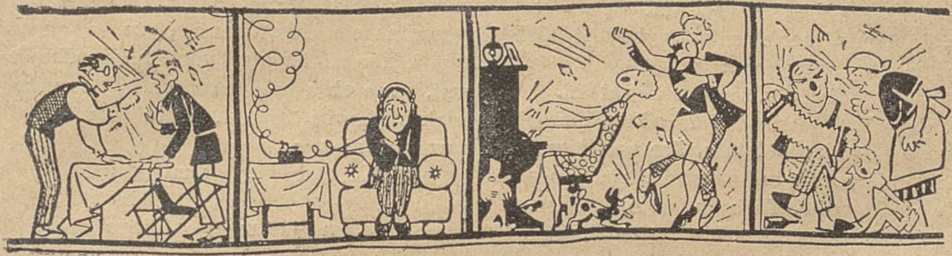
Zbliżają się czasy, kiedy w historji filmu liczyć będziemy epokę od wyświetlenia filmu „Gorączka Złota", tak jak w historji liczymy epokę od wojny światowej.

I historiografowie srebrnego ekranu nie zawahają się nazwać tę epokę: „Epoka Charlie Chaplina".

Maksymiljan Emmer.

Radjopajęczarze.

HUMORESKA.



— A teraz szlus, — rzekł szczupły smagły monter, złażąc z dachu wprost do mego pokoju. — Wyrychtowaliśmy panu antenkę, że palce lizać. Możesz pan sobie posłuchać samego Kiepurę! W tem oto miejscu należy włączyć...

Miał on minę tak poważną, jakgdyby wrócił z bieguna północnego po uratowaniu Amundsena, a nie ze zwykłego dachu. Pobawił się moim nowiutkim dopieroco nabytym aparatem, pobębnił po nim palcami i zapytał:

— A uszy pan masz?

Bezwiednie dotknąłem się mych uszu. Monter zaczął się śmiać:

— Nie te uszy! Te są do luftu. Trzeba mieć uszy radjowe — słuchawki. Czem będziesz pan słuchał?

Mechanik udzielił mi cennych wskazówek dotyczących odbiornika, włączenia, wyłączenia i t. p., otrzymał umówioną zapłatę i poszedł sobie. A ja tego samego dnia kupiłem dziwaczny przedmiot z telefonami do nakładania na głowę w czasie audycyj, zafundowałem sobie wygodny fotel i w wielkiem podnieceniu usiadłem o oznaczonej godzinie, aby wsłuchiwać się w tajemnicze fale eteru.

Nareszcie... zaczęło się... „Hallo, hallo, polskie radjo. Fala 1.111 metrów".

Wtem ktoś wlazł mówcy w paradę z prozaicznem zdaniem: „Czy jest herbata?"

„Woda zaraz się zagotuje," odrzekł jakiś głos.

„A piwo?"

„Janek poleciał po 3 butelki. Tylko patrzeć, jak wróci".

„To czego się, djabli, szwendacie?"

Nie mogłem się w tem wszystkiem połapać: taki banalny temat, jak herbata i piwo na fali 1.111 metrów. Zresztą dzisiejszy program winien był rozpocząć się jakąś tam audycją dla dzieciaków. A może był to omyłka w druku i miało być napisane: „audycja dla pijaków?"

—Wszelki początek jest trudny, — pomyślałem. Nie odrazu zostaje się radjoamatorem. Postanowiłem przeto cierpliwie słuchać dalej. Wytrwałość moja została wkrótce nagrodzona. Usłyszałem cudne tony ustnej harmonijki, wygrywającej „Oj-ra, oj-ra". Potem jakiś piskliwy głos kobiecy zaśpiewał:

A ja coło ca mam jednego,
On mnie kocha a ja jego.

Koncert zapowiadał się dość interesująco, gdy wtem zamiast melodji usłyszałem djalog, widocznie wyjątek z jakiegoś dramatu.

— Wycyganiłeś u mnie dwa złocisze.. Gdzie one są?

Druga osoba jednak była mniej dramatycznie usposobiona, bo zadeklamowała:

„ I wy mnie pytacie z pijanym [hałasem,
Co znaczy ten kindżał za pa- [sem"?

— Oddaj forsę, nie udawaj błazna — denerwował się tragik.

— Nie zawracaj głowy, — bronił się komik.

Zdumienie moje wzrastało coraz bardziej. I to się ma nazywać audycja dla

dzieci... Ładne wychowanie młodego pokolen a, niem co. Ale postanowiłem wytrwać na st nowisku. Słuchałem dalej. Głosy biorące udział w tragikomed i, umilkły. Usłyszałem natomiast miękko płynącą kołysankę, która tak mnie rozczuliła, że z trudnością powstrzymywałem cisnące mi się do oczu łzy. Raptem piosenka zakończyła się zupełnie nie po dziecięcemu:

R f łek, jeszcze kawałek...

Rzuc łem słuchawki i podniosłem się z mego wygodnego fotelu. Zro umiałem nareszcie wszystko: to co usłyszałem, to nie było wcale radjo. To były jedynie odgłosy z sąsiednich pokojów. Moi sąsiedzi, którzy pili, rozm wiali i śpiewali, przeszkadzali mi słuchać radja.

Podskoc yłem, jak oparzony, zapukałem do drzwi i krz knąłem:

— Co to za hałasy... proszę ciszej!

— Co takiego? Co się stało? — usłyszałem w odpowiedzi.

— Proszę tak nie hałasować! Mam radjo i nic ni- słyszę z powodu tych krzyków.

— Pan ma radjo, a my mamy gości. Po co pan tu przyszedł?

Przespacerowałem się po swym pokoju, wypiłem szklankę wody i odzyskałem równowagę ducha. Zasiadłem znów do radja. Miała właśnie nastąpić transmisja opery „Pajace". Rozległ się znów jedwabisty baryton, który w śpiewał z uc uciem:

„Na fali 1.111 metrów".

— Dość te o,—krzyknąłem, w przekonaniu, że mn e słyszą na stacji nadawczej. — Ciągle wyłazicie z temi 1.111 metrami. Pospieszcie się z tą transmisją!

Transmisja rzeczywiście się zaczyna. Lecz nie z Teatru Wielkiego, lecz z innego znów pokoju. Nie ma to nic ws óln go z operą Pucciniego: był to najzwyklejszy fox-trott bębniony przez pannę Agnieszkę z brzękiem i trzaskiem, prawie z tłuczeniem szkła. Trwała ta przyjemność dość długo. Czekałem cierpliwie, kiedy się nareszcie skończy. Wreszcie sąsiadka moja zmęczyła się bębnieniem. Cudowny odpoczynek dla mych uszu. Zanurzam się całem swem jestestwem w słuchawki i słyszę znów jedwabisty głos, przenikający mi do głębi duszy.

— Przed chwilą odśpiewano pierwszy akt opery „Pajace". Transmisja odbywa się na fali 1.111 metrów".

Nazajutrz odwiedziłem wszystkich sąsiadów, wyjaśniłem im, że mam radjo i prosiłem uprzejmie o łaskawe danie mi możności wysłuchania wieczorem w spokoju choc ażby maleńkiej części produkcyj radjowych ze zwolnieniem mnie od transmisyj z pokojów sąsiednich. Osoby zainteresowane odr ekły dumnie, że od zasad swy h nie zamierzają bynajmniej odstępować, i nie chcą się bynajmniej czemkolwiek krępować. Panna Agata powiedziała nawet wyniosłe:

— Tak postąpię, jak mi przypadnie do gustu. Bóg wie, co pan sobie tam zaprowadzi... a ja mam z tego powodu cierpieć?

Wieczorem nałożyłem słuchawki i w utęsknieniu rzuciłem się na mój fotel. Powtórzyła się wczorajsza historja z małemi odmianami. W programie była lekcja angielskiego, a usłyszałem psi skowyt: to panna Tosia bawiła się z pudlem. Następny wykład o parlamentaryzmie składał się z samych nieparlamentarynch wyrażeń. Muz ka klasyc na odbywała się przy akompanjamencie gry na grzebieniu. W niek órych jednak wypadkach nie było dysharmonji z programem: przy deklamowaniu utworów z „Zem ty za mur graniczny" poczubili się lokatorzy sąsiednich pokojów. D lej — audycji dla dzieci towarzyszył płacz maleńkiej Feluni. Podczas zaś sprawozdania giełdowego ktoś w s siedn m pokoju rzucał o ścianę butelki, które z hukiem padały następnie na pod ogę. Przypominało to grę na zniżkę i zwyżkę...

A na zakończenie znów to nieśmiertelne:

„Na fali 1.111 metrów".

Minął znów dzień. Wchodząc do mieszkania, zauważyłem dziwne widowisko: nad drzwiami, prowadzącemi do mego pokoju, wisiał sąsiad, przymocowany w niewytłumaczony dla mnie sposób i coś przygważdżał do ściany. Ujrzawszy mnie, zmieszał się bardzo i z hałasem spadł na podłogę.

— Co pan robi? — zapytałem.

Trąc zbolałą nogę i krzywiąc się niemiłosiernie, odrzekł z udaną obojętnością:

— Głupstwo... Rozumie pan... elektryczność... Tu jest drut... elektryczność popsuła się, więc ja właśnie naprawiam drut...

Odkręciłem wyłącznik: elektryczność działała wyśmienicie.

— Otóż to, — ucieszył się młody człowiek.—Naprawione! Pa i się! Wiedziałem zgóry, że się poprawi. Trzeba było trochę pomajstrować... A teraz wszystko w porządku.

Wszedłem do swego pokoju. Słyszałem jednak stamtąd, jak ktoś krząta się koło moich drzwi... Zająłem się swą pracą i nie zwracałem na to więcej uwagi.

Wieczorem, pełen czarnej melancholji — i nie żywiąc żadnej nadziei, nałożyłem słuchawki. Znów usłyszałem fatalną falę metrów, a następnie, o cuda! Bez przeszkód słuchałem wiadomości bieżących a przy komunikacie rolniczym nikt nawet nie kichnął. Za ścianą panowała uroczysta cisza. Nie było słychać żadnych lokalnych transmisyj. Młodzi ludzie nie krzyczeli, nie kłócili się. Jakby ich wcale nie było.

A jednak oni byli.

Podczas koncertu dał się raptem słyszeć psi skowyt.To panna Tosia tresowała pudla.

Moi sąsiedzi poruszyli się; wkrótce jeden z młodzików wypadł na korytarz i podbiegł do pokoju panny Tosi, krzycząc:

— Co za impertynencja... Co za szczekanie, co za wycie? Przez pannę nic nie słychać!

Panna Tosia nie pozostała dłużna odpowiedzi i tak długo piszczała, aż cały koncert przepadł. Ale ja byłem zachwycony! O mało co nie rzuciłem się w ich objęcia. Zrozumiałem, że oni dziś ściągnęli u mnie, że tak powiem, nieco radja. Jest to wprawdzi zły uczynek, ale z drugiej strony zostali oni sami radjoamatorami i w ich pokoju panować teraz będzie cisza.

Do końca tego wieczora młodzieńcy ci bądź siedzieli cichutko w swoim pokoju, bądź prowadzili z innymi sąsiadami walkę na śmierć i życie. A ja grzeszny człowieczek, zacierałem sobie z radości ręce, myśląc:

— Doskonale! Znakomicie! Przewybornie! Lepiej nie może być. Cudowny środek leczniczy: szczepienie bakteryj radjowych. Dalsze wypadki są łatwe do przewidzenia. Młodzieńcy następnego dnia już namówili do grzechu pannę Tosię. Zauważyłem drut, przeprowadzony do jej drzwi... Wieczorem umilkła już Tosia, oniemiał pudelek.

Jeszcze raz słońce zaszło, zgorszone tem, że para małżeńska Przytulińskich (z czwartego pokoju) popełniła kradzież radja. Ale za to tego wieczoru wysłuchałem całej opery „Lohengrin“ bez jakichkolwiek akompanjamentów.Tylko wykładowi o wojnie towarzyszył płacz małej Feluni, jakby ubolewała nad przyszłym losem ludzkości...

Najdłużej ze wszystkich opierała się pokusie panna Agnieszka. Ale młodzieńcy bez jej wiedzy przeprowadzili do niej drut i wydostali skądciś starą telefoniczną słuchawkę. Mruczała coś tam z początku, ale wreszcie uległa, i odtąd zamilkła.

* * *

Onegdaj spóźniłem się nieco na koncert radjowy i przechodząc korytarzem, potrąciłem o coś. Jakiś przedmiot spadł z łoskotem na podłogę. W tej chwili zjawili się u progów swych pokojów radjoamatorzy z błyskami gniewu w oczach, krzycząc:

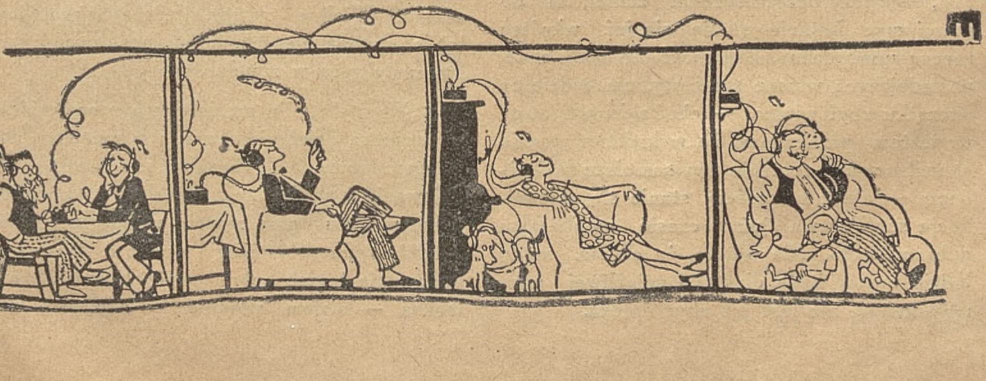
— Ciszej, ciszej! Co za impertynencja przeszkadzać podczas koncertu!!!

Najbardziej żołądkowała się panna Agnieszka.

Tak wygląda wdzięczność ludzka. Oni przeciwko mnie!

Pomimo to przyznać im musiałem rację.

Wł. Sosnowski.



NA PODBÓJ PRZESTWORZY

PERSPEKTYWY LOTNICTWA. — KTO ZWYCIĘŻY: SAMOLOT CZY SAMOCHÓD?

Najstarszy pionier nowoczesnego lotnictwa, słynny Henry Farman, udzielił niedawno przedstawicielom prasy interesującego wywiadu, w którym podzielił się wrażeniami z długiej karjery lotniczej i dał wyraz swej niezłomnej wierze we wspaniały rozwój komunikacji napowietrznej. Przytaczamy niżej najbardziej interesujące fragmenty tego wywiadu.

„Miałem zaszczyt być pierwszym oficjalnym lotnikiem na świecie. Przede mną latali już wprawdzie bracia Wright i Santos Dumont, ich lotów jednak nie uznała wówczas żadna oficjalna komisja. Byłem pierwszym lotnikiem, który dokonał lotu okrężnego, a powracając bez defektu na miejsce startu, dowiodłem, że człowiek może nowoczesnym samolotem według swej woli kierować.

Z pośród wszystkich starych pionierów lotnictwa ja jeden do dnia dzisiejszego nie zrzekłem się latania. Liczni z pośród pierwszych lotników życiem zapłacili za swą odwagę w walce z nowym żywiołem, inni znów na skutek wyczerpania, lub rezygnacji zaniechali dobrowolnie dalszej działalności na tem polu. Obecnie latam prawidłowo conajmniej dwa razy w tygodniu, przyczem szczególną przyjemność sprawia mi wypróbowywanie nowych aparatów, względnie tych maszy , na których dokonano pewnych ulepszeń technicznych.

Przestworza są żywiołem przyszłości. Moja wiara w latanie nie jest wiarą w nowy styl, lecz jest bezgranicznem zaufaniem do nowej ery. Latanie stanie się już wkrótce rzeczą powszechną. Być może, że ilość osób, posiadających własne samoloty, nie będzie na początku zbyt wielka, — choć z drugiej strony jestem przekonany, że w krótkim czasie skonstruowany zostanie typ samolotu dla każdego, — ale z pewnością stanie się komunikacja samolotowa już w czasie najbliższym dobrem ogółu. Nie wątpię, że chwila, kiedy ludzie unikać będą długiej i uciążliwej podróży koleją, nie jest już zbyt daleka.

Z pewnością już w czasie najbliższym powstaną bezpośrednie linje lotnicze, które umożliwią nam przebywanie drogi z Madrytu do Londynu w czasie między śniadaniem i obiadem. Któżby chciał w tych warunkach męczyć się 4-dniową jazdą koleją? Albo kto zechce wówczas poświęcić pięć drogich dni na wycieczkę z Paryża do Marokka, skoro istnieć będzie możliwość wykonania tej podróży w ciągu jednej nocy. Proszę sobie uprzytomnić, co to wszystko oznacza z punktu widzenia gospodarczego. Kupiec lub urzędnik państwowy, udający się w taką podróż, może jeszcze ostatni dzień swego pobytu w Paryżu poświęcić całkowicie załatwianiu swych spraw prywatnych i urzędowych, może zjeść obiad ze swymi przyjaciółmi, pójść wieczorem do teatru, a stamtąd na kolację, a o północy, zamiast iść do domu, zajmie miejsce w wygodnej kabinie samolotu. Nazajutrz rano zje w Marokku śniadanie, następnie załatwi, co ma do załatwienia, zwiedzi miasto i okolice, a wieczorem powraca do Paryża.

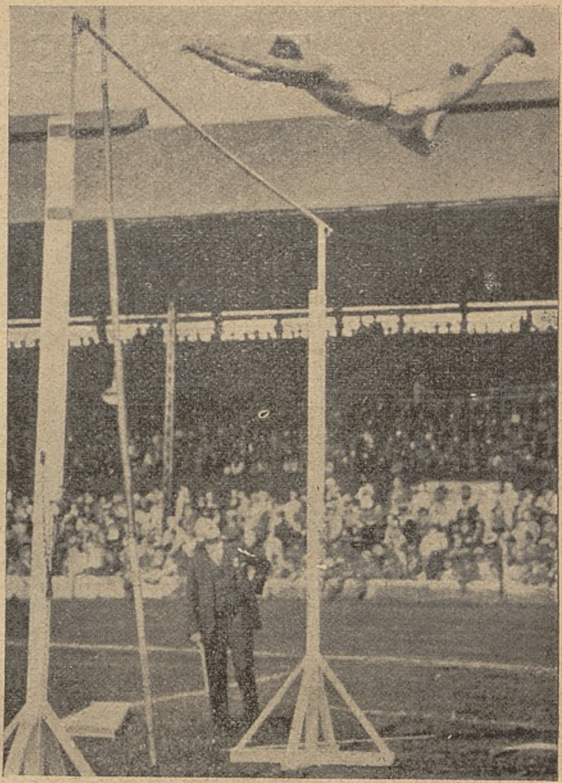
A jak będziemy podróżować w czasach, kiedy awjatyka zacznie skutecznie konkurować z okrętową komunikacją transoceaniczną? Na problem komunikacji lotniczej przez ocean nie wolno nam już spoglądać, jak na nierealną utopję. Sprawa wybudowania na oceanie pływających lotnisk już dzisiaj wchodzi na drogę realizacji. Nie muszą to być koniecznie „wyspy pływające" w pełnem słowa tego znaczeniu. Wielkie okręty, leżące na kotwicy, lub olbrzymie nieruchomo stojące promy wystarczyłyby tu w zupełności.

„Wyspy" takie musiałyby być oczywiście odporne na działanie burz, ich rozmiary powinny odpowiadać głównemu ich zadaniu, t.j. lądowaniu i startowaniu samolotów, ponadto powinny się na nich zawsze znajdować odpowiednie zapasy benzyny i smarów. Bez wybudowania takich „pływających lotnisk" nie można, — mojem zdaniem, — myśleć o za-

prowadzeniu stałej samolotowej komunikacji transoceanicznej.

Jako główną przeszkodę w dziele popularyzacji komunikacji samolotowej wymienia się zazwyczaj jej drożyznę. Z jednej strony zarzut ten jest do pewnego stopnia słuszny i uzasadniony. Jeżeli jednak uświadomimy sobie, że podróż do krajów bardziej odległych trwa koleją lub okrętem kilka, a nawet kilkanaście dni, to przyjdziemy do wniosku, że komunikacja lotnicza stosunkowo tak droga znów nie jest. Nie ulega też wątpliwości, że w miarę wzmagania się ruchu samolotowego, ceny przelotów zaczną szybko spadać.

Z chwilą, kiedy fabryki będą w stanie przystąpić do masowej fabrykacji części składowych aeroplanów, podobnie, jak dzieje się to przy wyrobie samochodów, ceny gotowych maszyn spadną bardzo wydatnie, a tem samem usunięte zostaną wszystkie główne przeszkody na drodze do popularyzacji i demokratyzacji lotnictwa".





U góry. *Zdjęcie dokonane podczas ostatnich zawodów międzynarodowych w Anglji daje możność laikowi uświadomić sobie, co znaczy właściwie „skok o tyczce" i jakie fenomenalne rezultaty osiągają asy międzynarodowe w tej dziedzinie.*

U dołu. *Piękny skok wzwyż miss Caterwood na olimpjadzie amsterdamskiej, który otworzył przed piękną kanadyjką... zaczarowane podwoje Hollywood, dokąd została zaangażowana jako artystka filmowa. Wypadki przejścia do pracy kinowej słynnych sportowców nie są naogół rzadkie. Przeciwnie, ukazanie się na srebrnym ekranie jest za naszych czasów niejako szczytem, „uwieńczeniem" karjery każdego wybitnego sportowca.*

TAJEMNE PISMO,

OD JULJUSZA CEZARA DO MASZYN ELEKTRYCZNYCH.

Jak sama nazwa wskazuje pismo tajemne powinno przedewszystkiem odpowiadać zasadniczemu warunkowi, mianowicie powinno być zrozumiałe tylko dla osób wtajemniczonych. Zadanie to spełnia najłatwiej tak zwane pismo szyfrowe, polegające na tem, że wszystkie litery są w niem zastąpione przez inne litery lub znaki, oczywiście znane jedynie osobom zapoznanym z danym szyfrem. Ale bądź co bądź pismo takie odrazu rozpoznaje się jako szyfrowe, a więc, że tak powiemy, demaskuje odrazu swą tajemniczość, pobudzając osoby zainteresowane do rozwiązania tych swego rodzaju logogryfów i szarad. Prawdziwie przeto „tajemnem" nazwać można taki rodzaj pisma, który, nie zdradzając swej tajemniczości, ukrywa między wierszami pozornie niewinnego tekstu swoją treść istotną. W piśmie takiem czyta się naprz. tylko środkowe litery co drugiego lub co trzeciego wyrazu, według zgóry umówionego klucza.

Nie można ściśle określić czasu, kiedy powstało pismo szyfrowe; stwierdzić jedynie możemy, iż było ono znane i stosowane jeszcze w starożytności. Już starożytni Spartanie posługiwali się tą metodą, przesyłając swym wodzom na pola walk tajemne rozkazy przy pomocy dwóch drewnianych cylindrycznych palików o jednakowej średnicy. Palik taki owijano wąską taśmą papyrusową, tak aby jej brzegi stykały się dokładnie ze sobą. Na miejscach tych zetknięć pisano tekst rozkazu. Oczywiście rozwinięta taśma przedstawiała tylko zespół niezrozumiałych znaków. Po otrzymaniu takiego rulonu dowódca, dla którego rozkaz był przeznaczony, nawijał tę taśmę na taki sam palik i z łatwością odczytywał tekst rozkazu. Oczywiście ten rodzaj pisma zwany „skytala" był bardzo prymitywny, gdyż cała tajemnica tkwiła tylko w rozmiarze średnicy palika. Przy dzisiejszem stanie metod odcyfrowania, odczytanie „tajemnego" tekstu nie przedstawiłoby żadnych trudności chociażby dla czytelników działu rozrywek „Mojego Przyjaciela".

Na uwagę zasługuje system, używany przez Juljusza Cezara, który jedne litery alfabetu zastępował przez inne. Jego metoda stała się wzorem dla średniowiecza, przyczem litery tekstu były zastępowane liczbami, znakami astronomicznemi lub geometrycznemi, nutami, lub też często zwykłemi punktami czy kreskami, przypominającemi współczesny alfabet Morse'a.

Najwybitniejsze postacie historyczne posługiwały się własnym przez się wynalezionym szyfrem. Wspomnijmy tylko o cyfrowem piśmie Mirabeau i Backona, maurytańskiem piśmie „klinowem", o piśmie samogłoskowem Napoleona, i innych niezliczonych metodach, zachowanych przez historję.

Wszystkie te metody, sprowadzające się do zamiany liter przez inne znaki pisarskie, nie przedstawiają zupełnego bezpieczeństwa „tajemnicy", i mogą obecnie mieć znaczenie tylko amatorskie. W końcu średniowiecza, a zwłaszcza na początku epoki nowożytnej, znajduje zastosowanie w praktyce zupełnie nowy rodzaj pisma tajemnego. Nie mamy już do czynienia ze zwykłą namiastką pisma, zaczyna natomiast górować metoda tak zwanej „przekładanki". Tutaj pozostają zachowane zwykłe znaki pisarskie, zmienia się tylko ich wzajemne ustosunkowanie, według zgóry umówionego klucza. Przekładanka tutaj pozwala do tego stopnia zagmatwać pierwotny tekst, że odcyfrowanie tajemnicy staje się dla osób nieobeznanych z kluczem wręcz niemożliwe. Stosowanie jednocześnie kilku kluczy w tego rodzaju przekładance dawało gwarancje prawie zupełnej tajemnicy.

Jednocześnie jednak cały legjon doświadczonych specjalistów trudził się nad wynalezieniem systemu pozwalającego na odcyfrowanie każdej najbardziej zawikłanej przekładanki. Wynaleziono metody mate-

matyczne, umożliwiające łatwe odczytanie każdego tekstu, gdy została wykryta najmniejsza okresowość powtarzania się je in - łowych liter. W ten sposób c ły ten zawikłany system „przekładanek" z stał unicestwiony za jednym zamachem.

Wogóle cała epok nowoczesna, do początku XX wieku włącznie obfitowała w wynalazki w dziedzinie szyfrów. Skoro jednak dowiedzione zostało, że matematyczny system odcyfrowania pozwala bez zbytnich trudności odczytać najb rdziej zawiłą „przekładankę", musiano zaniechać stosowania tego systemu. Po raz ostatni „prze ładanki" astosowano podczas wojny niemiecko-francuskiej w roku 1870/71.

Stopniowo system przekładanek musiał ustąpić miejsca nowym, udoskonalonym metodom, t. zw. szyfrom książkowym czyli słownikowym. Ni zbędnym warunkiem przy używaniu tej metody jest, by obaj korespondenci posiadali identyczne egzemplarze jakiejkolwiek książk lub słownika. Wówczas zamiast naprz. wyrazów znajdujących się na lewej stronicy pisze się odpowiednie wyrazy, znajdujące się na tych samych miejscach na prawej stronicy. Odczytanie podobnego listu dla adr sata nie przedstawia żadnych tru ności, podczas gdy osoba nie posiadająca odpowiedniej książki odcyfrować l stu nie może.

W ostatnich czasach, wobec szybkiego rozwoju techniki we wszystkich dziedzinach pracy, do tajemnego pisma zastosowano również sposoby mechaniczne. W ubiegłym roku została wynaleziona maszyna dla wysyłania i odczytywania korespondencji szyfrowanej. Właściwie maszyna ta składa się z dwóch maszyn do pisania, połączonych ze sobą zapomocą misternych mechanizmów, wprowadzanych w ruch prądem elektrycznym (patrz rycinę). Na jednej z tych maszyn (lewej) pisze się list tak samo jak na zwykłej maszynie, podczas gdy prawa maszyna w tym samym czasie drukuje ten list w fo mie szyfrowanej, przytem na tyle zagmatwanej, że odczytanie treści dla osoby niewtajemniczonej staje się niemożliwością.



Maszyna elektryczna do szyfrowania korespondencji.

Maszyna ta posiada prócz tego wiele „kluczy", które za jednem n ciśnieniem guzika zmieniają cały system szyfrowania, co jeszcze bardziej utrudnia odczytywanie takich listów osobom niepowołanym. Adresat zaś, po otrzymaniu podobnej korespondencji, nastawia maszynę według zgóry umówionych kluczy, i przepisuje szyfrowany list na prawej maszynie. Wówczas lewa maszyna drukuje sama prawdziwą treść listu. Wynalazek ten, który bezwątpienia znajdzie zastosowanie podczas wojny jak również w pracy dyplomatycznej, wymagającej ścisłej tajemnicy, rozstrzyga starodawne zagadnienie wynalezienia tajemnego pisma, któreby nie mogło być odczytane przez osoby niewtajemniczone.

A. Jaw.

Trzy nowe ekspedycje do bieguna południowego.

BYRD, WILKINS i JEFFREY LECĄ DO MÓRZ PODBIEGUNOWYCH.

Stosunkowo niedawno jeszcze rozegrał się ostatni akt dramatu nieszczęśliwej „Italji" na tle bezbrzeżnych pól lodowych i dzikich ajsbergów. Świeże jeszcze są wspomnienia uczucia bezsilności, które ogarnęło świat cywilizowany na wieść, że rozbitkowie znajdują się na krze lodowej, cierpiąc męki fizyczne i moralne, lecz ekspedycje ratownicze nie mogą przyjść im z pomocą, mimo że miejsce gdzie się wznosi słynny namiot czerwony jest dokładnie znane. Po tragicznym finale ekspedycji nikogo już nie cieszyła wiadomość, że naukowe zdobycze ekspedycji zostały uratowane. Naukowe zdobycze! A jednak wabią one jeszcze śmiałych badaczy, mimo groźne niebezpieczeństwa, napotykane w lodowych pustyniach okolic podbiegunowych; przyciągają ich z taką siłą, że nawet straszny los załogi „Italji" przestaje dla nich służyć zbawienną przestrogą. Podczas gdy cały świat nie otrząsnął się jeszcze z wrażeń ostatniej ekspedycji generała Nobile, i nawet losy niektórych uczestników tej nieszczęśliwej imprezy pozostają jeszcze nieznane, — trzech śmiałych lotników szykuje się do wyprawy może bardziej jeszcze niebezpiecznej, niż ekspedycja włoskiego sterowca.

Celem tych ekspedycyj ma być biegun południowy, ściślej mówiąc, — ziemie, położone wpobliżu bieguna i dotychczas jeszcze nie zbadane, co do których nie wiemy nawet — czy tworzą one jeden duży kontynent, czy też są to dwie oddzielne wyspy.

Dwie ekspedycje są zorganizowane przez Amerykanów, trzecia zaś przez Anglików. Kierownikiem pierwszej wyprawy jest słynny komandor Byrd, bohater lotu transatlantyckiego, który 9 maja 1926 roku pierwszy doleciał samolotem do bieguna północnego. Towarzyszył mu wówczas podróżnik Lloyd Bennett, obecnie już zmarły. Rywalem jego jest kapitan w służbie australijskiej, Huvert Wilkins, który niedawno w towarzystwie Bena Cielsona przeleciał z Alaski do Szpicbergu, — również przez biegun północny. O tych wyprawach obu bohaterów powietrza pisaliśmy w swoim czasie w „Moim Przyjacielu".

Chociaż obydwie ekspedycje do bieguna rozpoczną się prawie jednocześnie, nie będzie tu jednak miejsca na rywalizację sportową. Amerykańskie Towarzystwo Geograficzne, które finansuje obydwie wyprawy, zaaprobowało marszruty, obrane przez Byrda i Wilkinsa dla swych napowietrznych podróży, ale wyznaczyło każdemu osobny rejon dla zbadania. W rzeczy samej, obydwaj lotnicy będą mieli dosyć pracy w wyznaczonych im obszarach. Byrd ma za zadanie zbadanie miejscowości, położonych między morzem Rossa a morzem Weddelle'a; Wilkins zaś ograniczy się przelotem po linji morze Rossa— — Ziemia Grahama.

Trzeci podróżnik do bieguna, angielski major Douglas Jeffrey, który brał udział w ostatniej wyprawie Shackeltona, ma na widoku zupełnie inne cele naukowe. Przybędzie do okolic podbiegunowych jednocześnie z Byrdem, ale zatrzyma się w punkcie, oddalonym od bazy Byrda na akie 80° długości geograficznej. Jeffrey wogóle nie ma zamiaru lecieć do bieguna, chce natomiast ułożyć dokładną mapę Ziemi Grahama, gdzie będzie główna baza jego ekspedycji.

Byrd byłby już dawno skończył prace

przygotowawcze, gdyby nie prześladował go wyraźny pech. Trzej lotnicy, którym zkolei proponował wzięcie działu w jego wyprawie, zmarli jeden po drugim w krótkich odstępach czasu. Norweg Oskar Omdal, który towarzyszył Amundsenowi w jego locie do bieguna północnego w roku 1925, rozbił się wraz z z samolotem na Boże Narodzenie ubiegłe o roku, startując do rajdu transatlantyckiego. Następny kandydat, lotnik zakładów Forda, Harry Brooks, zginął w lutym b. r. podczas lotu Floryda—New-York. Wreszcie wierny towarzysz Byrda z podróży do bieguna północnego, Lloyd Bennet, który się zgodził towarzyszyć komandorowi w niebezpiecznej wyprawie, zmarł nagle na zapalenie płuc, — choroba, której się nabawił na Green Island, podczas ratowania załogi „Bremen", po jej nawpół udanym locie Islandja—Ameryka. Zatrzymuje Byrda również okoliczność, że Ford, który przyjął obecnie na siebie koszta całej ekspedycji, zażądał, aby podróż się odbyła na samolocie jego systemu i zaopatrzonym w silnik zbudowany w jego zakładach. Wiadomo jednak, że próby nowych aparatów i silników wymagają sporo czasu.

Wilkins jest pod tym względem bardziej szczęśliwy. Wybrał dla podróży wodnopłatowiec badrzo małych rozmiarów, ale zato rozwijający szybkość 260 klm. na godzinę. Co się tyczy Jeffrey'a, wyrusza on na dwóch samolotach, w towarzystwie czterech doświadczonych podróżników, uczestników polarnej ekspedycji Shakeltona.

Trzy projektowane ekspedycje wydadzą bezwątpienia obfity plon naukowy. Uczeni spodziewają się ważnych odkryć topograficznych i metoorologicznych. A przedewszystkiem należy wyjaśnić, czy słynna polarna barjera lodowa składa się z lodowców pływających, czy też spoczywa na stałym lądzie; po drugie należy zbadać podbiegunowe rozgałęzienia Kordyljerów, jedynego na świecie pasma górskiego, które pozostaje dotychczas niezbadane.

J. T.

Żołnierz na posterunku.



Bez karabinu lub szabli, lecz w masce przeciwgazowej, z dwiema butelkami tlenu w rękach. Niezbyt pocieszająca wizja niedalekiej być może przyszłości. Zdjęcia dokonano podczas ostatnich wielkich manewrów w Londynie, które dowodły, że żadne środki ostrożności nie mogą zabezpieczyć stolicy angielskiej przed ewentualnym atakiem samolotów nieprzyjacielskich, ziejących śmiercią i zniszczeniem.



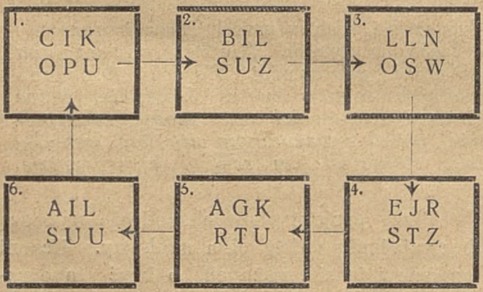
Rebus.

Nad. Fr. GROCHOCKI (Łomża) [3]



Wędrówka liter.

Ułożył WŁ. SZTELMAM (Radom)



Z każdego pola należy przenieść trzy litery na pole sąsiednie. W ten sposób nastąpi przegrupowanie — połowa liter zajmie nowe miejsca, połowa pozostanie na dawnych.

Z otrzymanych grup sześcioliterowych utworzyć: 1. rzekę; 2. miasto; 3. miasto; 4. rzeźbiarza; 5. czasopismo; 6. króla — w Polsce. Pierwsze litery dadzą rozwiązanie.(2)

Logogryf zgłoskowy.

Nad. S. BELLER (Dolina)

Z następujących zgłosek ułożyć jedenaście wyrazów o znaczeniu podanem, których litery początkowe czytane z góry nadół dadzą imię i nazwisko malarza polskiego, a końcowe czytane zdołu do góry — imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby: *a, buz, ce, dy, e, fe, diu, gan, ja, jam, jazd, le, ler, ot, pe, po, pol, ma, na, ni, ni, no, ny, ra, so, trans, ty, wor, wal, za, żec.*

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1. Miasto na kresach, 2. Muszelki mikroskopijne, 3. Inaczej karczma, 4. Naramienniki oficerskie, 5. Wada 6. Dawna oznaka władzy wojskowej, 7. Epos hinduskie, 8. Góry w Europie, 9. Zwierzę gruboskórne, 10. Długo (w języku obcym), 11. Kraj w Afryce. (2)

Błędne koło.

Nad. WŁ. SZTELMAN (Radom)



Puste miejsca wypełnić literami. Podane grupy dwuliterowe będą środkami słów, z których każde będzie miało po dwie litery z lewej strony i po dwie z prawej — wspólne ze słowami sąsiedniemi. Co to za słowa? [2]

Rozwiąznie.



„ZADANIE DLA CIERPLIWYCH"

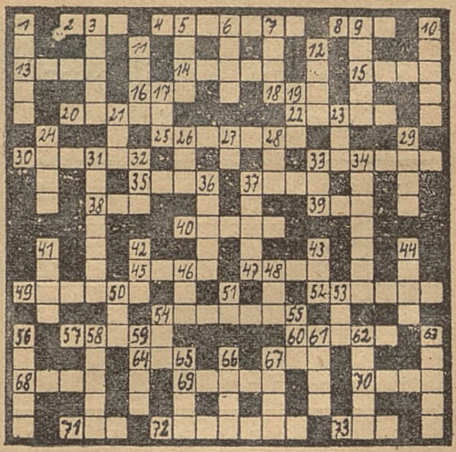
Krzyżówka.

Nadesłał M. TYRAKOWSKI (Skoków)

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: 2. Miasto w Finlandji, 4. Miasto w Wielkopolsce, 8. Zaimek, 13. Odbywa się co tydzień, 14. „Strzegę" po łacinie, 15. Rzeka w Azji, 16. Zaimek pytajny, 18. Spójnik, 20. Start samolotu (wspak), 22. Krytyka, 25. Poseł Filipa Pięknego do Bonifacego VIII, 30. W wielkiej liczbie, 33. Utwór poetycki, 35. Niema czegoś. 37. Napój, 38. Narty, 39. Katedra, 40. Miasto koło Wilna. 45. Opad atmosferyczny, 47. Zwierzę domowe, 49. Owoce egzotyczne, 52. Dowódca sotni, 54. Polski badacz katakumb, 57. Mała rana, 60. Obraza, 64. Owad, 67. Módl się — w języku martwym, 68, Kawał drzewa, 69. Prawda, 70. Wzniesienie, 71. Pierwiastek chem., 72. Głos męski, 73. Zaimek.

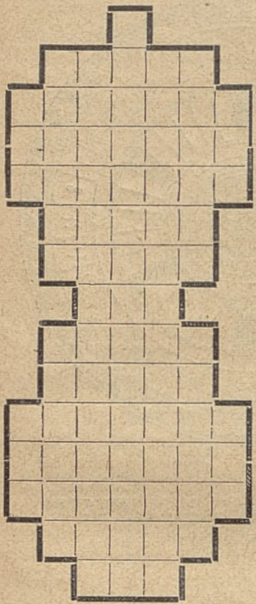
PIONOWO: 1. Potyczka, 3. Błoto. 5. Samochód, 6. Zły znak, 7. Jest składana przez ryby, 9. Zasłona na twarz, 10. Ma każde państwo, 11. Układ (t=d), 12. Potrzebny w zimie, 17. Głos. 19. Latanie, 21. Roślina, 23. Okres czasu, 24. Zwierzę domowe. 26. Zaimek, 27. Wykrzyknik zniechęcenia, 28. Imię żeńskie, 29. Marka wody do zębów, 31. Tama, 32. Tam — po łacinie, 33. Bicz, 34. Dzikie zwierzę, 36. Mapa (inacz.), 37. Napój, 41. Napad, 42. Płyną po wodzie, 43. Zbiór drzew, 44. Rejestr. 46. Sobie-po łacinie. 48. Ukrop



50. Nie — w języku obcym, 51. Chemiczny znak platyny (wspak), 53. Imię żeńskie, 54. Co — w języku niemieckim, 55. Zwierzę w puszczy, 56. Zabronienie, 58. Działanie, 59. Skóra drzew, 61. Skaleczenie, 62. Grządka, 63. Służą do zabezpieczenia okien, 65. Pierwszy okręt, 66. Narząd wzroku, 67. Trafia się na pustyni (V przypadek).

Logogryf.

Nad. W. ANTONOWICZ (Dolina)



1. Spółgłoska
2. Pogranicze (inacz.)
3. Przerwa między akt przedst.
4. Wypasiony (inacz.)
5. Rękopisy (inaczej)
6. Zjazd duchownych
7. Wieś u Hotentotów
8. Artretyzm
9. Djabeł
10. Zwierzę morskie
11. Najwyższy sąd w Atenach
12. Zuchowatość (in.)
13. Sprawa do rozstrzygnięcia
14. Sznur do chwytania zwierząt
15. Podanie bajeczne

W podaną figurę wstawić wyrazy o podanem znaczeniu, wtedy rząd środkowy da nam imię i nazwisko współczesnego pisarza polskiego. [2]

Zagadka konikowa

nad. N. CYNAMON (Płock)

R	M	C	Ł	I	E
A	Z	A	R	J	O
E	I	R	M	S	M
O	E	Z	A	Ż	A
Z	U	C	R	I	T
K	A	A	A	Z	Ą

Zaczynając od litery „C" obejść—ruchem konika szachownicę, odczytać zagadkę i podać rozwiązanie. [1]

Szarada.

Ułożył S. BELLER (Dolina)

Pierwsze i **drugie** już od dawna służy,
Przy każdej byle nie pieszej podróży,
Chociaż w dzisiejszej wynalazków dobie
W kontakt z niem nieraz wchodzą nogi obie
I pędzi człowiek jak strzała po świecie,
Byle omijał zdala **czwarte** — **trzecie**,
Drugie i **trzecie** ciężka to robota
Lecz nieraz wiodą z kamienia do złota.
Gdy **czwartych** więcej, mówią wtedy **trzecie**
A **czwarte** — **czwarte** koło kur znajdziecie,
Całość to miasto piosnkami wsławione,
Co jego mianem zostały ochrzczone! [2]

Kwadrat liczbowy

nad „H. M. 106" (Kołomyja)

1	$2\frac{1}{2}$	4	$5\frac{1}{2}$	7
$8\frac{1}{2}$	10	$11\frac{1}{2}$	13	$14\frac{1}{2}$
16	$17\frac{1}{2}$	19	$20\frac{1}{2}$	22
$23\frac{1}{2}$	25	$26\frac{1}{2}$	28	$29\frac{1}{2}$
31	$32\frac{1}{2}$	$14\frac{1}{2}$	$35\frac{1}{2}$	37

Liczby w kwadracie przestawić w ten sposób, by suma liczb czytanych pionowo, poziomo i po przekątnych kwadratu była zawsze ta sama.

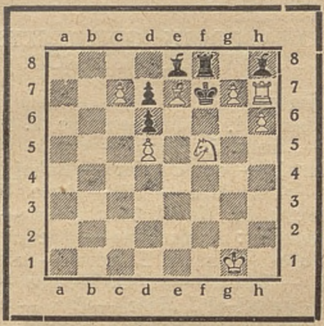
Wynik konkursu rozwiązań z Nr. 5 b. r.

St. Dworak (Puchaczów)
I nagroda (przez losow.)
„Jotes" (Puchaczów)
II nagroda
T. Wilczyński (Tarnopol)
III nagroda (przez los.)
Wł. Sztelman (Radom)
IV nagroda (przez los.)
K. Thurman (Kołomyja)
V nagroda (przez los.)
A. Lesiński (Włocławek)
VI nagroda (przez los.)

SZACHY

Zadanie № 23

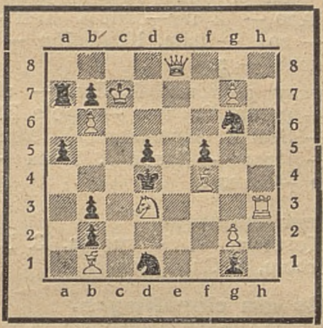
W. Pauly



Mat w 2 posunięciach.

Zadanie № 24.

G. Heathcote.



Mat w 3 posunięciach.

Pionkiem damy.

Grana przez korespondencję w 1927-28 r.

	S. Macht,	W Hergenröther
1.	d2 — d4	d7 — d5
2.	Sg1 — f3	Sg8 — f6
3.	c2 — c4	c7 — c6
4.	e2 — e3	e7 — e6
5.	Sb1 — d2	Sb8 — d7[1])
6.	Lf1 — d3	Lf8 — d6
7.	0 — 0	0 — 0
8.	e3 — e4	d5 × e4
9.	Sd2 × e4	Sf6 × e4
10.	Ld3 × e4	Dd8 — c7
11.	Wf1 — e1	c6 — c5
12.	b2 — b4[2])	c5 × b4
13.	c4 — c5	Ld6 — c7 [3])
14.	a2 — a3!	b4 × a3
15.	Wa1 × a3	Wf8 — e8? [4])
16.	Le4 × h7 +!	Kg8 — f8 [5])
17.	Sf3 — g5	Sd7 — f6
18.	Lh7 — c2	Lc8 — d7
19.	Wa3 — h3	g7 — g6[6])
20.	Sg5 × f7 ! !	Kf8 × f7
21.	Lc2×g6+7!!	Kf6 — g7 [8])
22.	Lg6 × e8[9])	Wa8 × e8
23.	Wh3 — g3 +	Kg7 — f7
24.	Dd1 — d3	Te8 — g8
25.	Tg3 × g8	Sf6 × g8
26.	Dd3 — h7+	Kf7 — f8
27.	We1 — e3	Ld7 — c6 [10])
28.	We3 — g3!	Czarne się poddały

UWAGI. 1) Tu grają zwykle c6 — c5, co prowadzi do równej gry. Izolowany pionek d5 nie przedstawia niebezpieczeństwa skoro biały skoczek stoi na d2. 2) Wytworzyła się znana pozycja, przedstawiająca mniej więcej równe szanse dla obydwu stron. Poświęcenie pionka jest tu jednak nowością. Nie jest może ono zupełnie prawidłowe, daje jednak białym dobre szanse ataku. 3) W tem miejscu czarne mogły zagrać o wiele energiczniej Ld6—f4. 4) Decydujący błąd! Teraz atak białych staje się przemożny. Czarne powinny były grać e6—e5! ażeby rozbić białe centrum i oswobodzić swego laufra. Sf6 również byłoby lepszem. Posunięcie zrobione w partji pozwala białym na świetnie przeprowadzony atak. 5) Przyjęcie ofiary prowadziło forsownie do przegranej, a mianowicie: 16... K : h7. 17. Sg5 + L: g5. (17... Kg6 . 18Wh3! i wygrywa). 18. Wh3 + Lh6. (Albo: 18... Kg8. 19. Dh5! Kf8. 20. Dh8 + Ke7. 21 L : g5 + f6. 22. D : g7 + Kd8. 23. Wh7! i białe wygrywają) 19. L:h6. g : h 20. Dd2 i białe wygrywają — —6.) Groził mat w dwóch posunięciach przez Wh8 + i Sh7. Ale posunięcie zrobione w partji pozwala przeciwnikowi na wspaniałą kombinację. — 7.) Świetna pointe'a poprzedniego poświęcenia. Wszystko to jest przepiękne i zupełnie prawidłowe! — 8.) Albo: 21... K : g6. 22. Dd3 + Kg7 (Jeśli 22... Kf7, to 23. Wh7 + ! ! S : h7 24. D : h7+, Kf6 25. h4. e5. 26. d5! Wg8. 27. Lg5 + i wygrywa) 23. We5! (Słabiej byłoby 23. Wg3+ D: g3!. 24. D: g3+ Kf7 i czarne, grając potem Wg8 i Lc6, przechodzą same do ataku) 23... Wg8. 24. Wg5+, Kf8. 25. W: g8+! S: g8. 26. Dg6! Le8 (Albo: 26... Lf6. 27. Wh7 i t. d.) 27. L:h6+ S : h6 28. D : h6+. potem następuje 29. Wf3+, albo Wg3 + i białe wygrywają. —9.) Teraz białe uzyskują również materjalną przewagę. Wygrana nie przedstawia teraz trudności. 10.) Inaczej rozstrzyga Wf3. Niezwykle ładna i zajmująca partja!

Rozwiązanie z Nr. 5.

Rebus.
SZYBKIEMI KROKAMI ZBLIŻA SIĘ OLIMPJADA

Krzyżówka.
Wyrazy poziome: 1. ekipa—tapir. 2. Rawa — karo, 3. Anu — pat — Rej, 4. ta — Rewel — na 5. oko — gar — man, 6. planeta 7. Apo — Zan — Nil 8. Tell — bora 9. ore — sos — nam. 10. Welon — du. 11. Iun — mak — res.

Wyrazy pionowe: A. Erato— atoli B. kanak — peron. C. iwa — opole D. pa E. Pegaz — Sem F. Sawanarola G. teren — kos H. ka — I par — Manon J. Irena — irade K. Rojan — Lamus.

Logogryf wirowy.
1. Kosztela, 2. Sanwantka, 3. Pastorał, 4. Wardroom, 5. Champion.

Ządanie dla cierpliwych.
Podajemy jedno z licznych rozwiązań:
1. 4, 7, 10, 13, 16, 2, 5, 8, 11, 14, 17, 3, 6, 9, 12, 15, 18, 34, 31, 28, 25, 22, 19, 35, 32, 29, 26, 23, 20, 36, 33, 30, 27, 24, 21.

Krzyżówka II.
Wyrazy poziome: 1. Konstytucja 3-iego maja. 16) Laury 17) On 18) Adam 20) To 22) Mole 23) Oko 25 Pa (ap) 28) Ul 30) Na 31) Ob 32) Co 34) Za 35) Aar 36) Katod (a) 38) T. j. 42) Uran 43) Ra 44) La (franc.) 45 Molto 46) Armja. 47) Lek. 48) Om. 49) amarant. 50) Boa.

Wyrazy pionowe: 1) Koronacja 2) Tarantela. 3) Yuspasza. 4) Ul. 5) Car. 6) Jury. 7) Ara 8) Ty 9) Zoolatrja 10) Entuzjazm. 11) Gama. 12) Odontolit. 13) Malwa 14) Ametyst 15) Atlantyda 19) Po 21) Si 24) Kra 26) Mokume 27) Jod 32) Conto 33) Barok 37) Tal 39) Amur 40) Faun 41) Ra.

Logogryf.
H. Sem. De**n**ar. Pat**r**ony. Fr**y**ne. S**k**i. **I**. Ab**a**. Ar**s**en. Szw**e**cja. Ill**i**nois. Stru**m**yk. Rapi**r**. Nil. Pro**s**o. Sat**r**apa. Buzd**y**gany (e=y). Gre**n**ada. Waltornia. Ost**r**yga. Kartagina.
Rozw.: HENRYK IBSEN, UPIORY, NORA.

Zagadka literacka.
Sielanka, Wiry, Ni**e**wola tatarska, Og**n**iem i mieczem, Jan**k**o muzykant. Rodzi**na** Połanieckich, Sach**e**m, Pan **W**ołodyjowski, Jamioł, Za **c**hlebem, Be**z** dogmatu.

Kryptogram.
„NIE WSZYSTKO ZŁOTO CO SIĘ ŚWIECI".

Rebus II.
„OKO PAŃSKIE KONIA TUCZY".

Łamigłówka.
St**a**rt, kufe**r**, ku**r**ek, sc**e**na, sz**y**na, kr**e**da, ka**r**ta.
rozw.: A. FREYER

Kącik szachowy.
Zadanie 15. Sd5 — e3.
Zadanie 16. 1. Sd6—e8 + K:h6 2. g6—g7 Lf8:g7 3. Se8—d6 i 4. Sd6—f5 mat. albo 1. Sd6—e8 + K—h8 2. Se8—f7 + K—g7 3. Se8—f6×K—g7 4. g6:h7 i wygrywa.

Rozwiązania z Nr. 6.

Rebus.
BUDOWA PORTU GDYNI SZYBKO POSUWA SIĘ NAPRZÓD.

Krzyżówka.
Poziome: 1. Kajfas—empire, 2. Nimfa 3, Norny — arena 5. Okap — buk — karo 6. Na — tasak — on 7. Pilar — buhaj 8. Be — rybak — si 9. Arja — kil — żyto 11. Hanka — kacyk 12. Nonet 13. Sukces — fajans
Pionow.: A Kantona — Bachus B. Kaper C. Juta — Janek. E. Anyż — tak — dane F. S. — barak — os G. Momus — bilon H. Ef — kabyl-ef J Maar — kur — akta K Irena — yucca. L. Projst Ł. Etalon — lolkos

Krzyżówka „Listek".
Wyrazy poziome: 1) Rad. 3) Au. 5) Te. 7) Lak. 9) Po. 11) Gra. 13) Wu.
Wyrazy pionowe: 2) Ar. 4) Od. 6) Aza. 8) Ule. 10) Paw.

Zaczarowane koła.
Rozw. „POMOC SZKOLNA".

Zadanie literackie.
1. Skąpiec, 2. H. S., 3. Twain, 4. Wiry, 5. Epigoni, 6. R.Z. (Roman Zmorski), 7) Faust, 8. S.Y. (Szalony, Yvetta), 9. Deotyma, 10) P.F. 11. Ocean, 12. Safo, 13. Żabusia, 14. J. W. 15. Ejsmond, 16. O. E. 17. Homer, 18. S. P., 19. Oleńka, 20. W. R. 21. Matka, 22. Godiwa, 23. Szajlok, 24. Char (itas), 25. Amok. 26. Duse, 27. Anhelli.
Rozw. STEFAN ŻEROMSKI — SYZYFOWE PRACE.

Wirówka.
1. Satelita, 2. Watelina, 3. Wazelina, 4. Strzelba, 5 Pasterka, 6. Polityka, 7. Panorama, 8. Panienka, 9. Narodowa, 10. Einstein, 11. Katowana, 12. Cietrzew, 13. Trzewiki, 14. Wójcicki, 15. Koalicja, 16. Akapulko.

Gwiazdka geograficzna.
1. Belbes, 2. Belgja, 3. Bielsk, 4. Banges, 5. Bayamo, 6. Bergen, 7. Besuki, 8. Beocja.

Logogryf.
1. Tac**i**tus, 2. Lu**z**ak, 3. Br**a**ma, 4. Gr**a**nd, 5. Se**k**ta, 6. A**n**u, 7. **e**, 8. **w**, 9. s**t**o, 10. Kl**o**sz, 11. Łom**n**ica.
Rozw. IZAAK NEWTON.

Zadanie konikowe.
MOWA SREBRO A MILCZENIE ZŁOTO.

Fraszka.
AR—EN—D—AR—Z.

Spis uczestników konkursu z № 5 i 6 r. b.

M. Blumenkopf (Warszawa) p. 8
„Joles" (Puhaczów) p. 24 i 22 (6) +
W. Górkówna (Choszczewa) p. 10
St. Dworak (Puhaczów) p. 24 i 21 (6) ×
G. Erlser (Włocławek) p. 16
S. Bruckner (Stanisławów) p. 8 i 6 (6)
Salo Deutsch (Kołomyja) p. 22
T. Wilczyński (Tarnopol) p. 22 ×
St. Mucha (Rohatyn) p. 8
K. Kulik (Radziechów) p. 16 ×
K. Thurman (Kołomyja) p. 22
J. Feurstein (Kraków) p. 19
Z. Adler (Kołomyja) p. 22
K. Mielnik (Klewań) p. 11 ×
T. Parłaczyński (Nisko) p. 11
E. Łoza (Słotwina) p. 8 ×
A. Butem p. 6
L. Glaszmidt (Warszawa) p. 20
D. Lapter (Lwów) p. 15
W. Romanowski (Sosnowiec) p. 15
I. Lubicki (Radom) p. 17
M. Rosenblatt (W-wa) p. 22
S. Deutsch (Kołomyja) p. 22 i 10 (6)
Wł. Sztelman (Radom) p. 22
* * * p. 16
T. Przywara (Rudziechów) p. 11
W. Feister (Klewań) p. 5
D. Dienes (Sniatyń) p. 8
S. Berkner (Włodzimierz) p. 13
Fr. Grochocki (Łomża) p. 20
W. Szmajłow (Wierów) „Kącik dla dzieci"
K. Kleinerman (W-wa) p. 20
T. Gawłowski (Chełm) p. 15
S. Przedecki (Skierniewice) p. 16
H. Neufeld (W-wa) p. 18
J. Baner (Gródek Jagielloński) p. 10
J. Tuszewski (Puhaczów) p. 22 ×
M. Klok (Wilno) p. 16
A. Lesiński (Włocławek) p. 22
W. Żebrowski (Skierniewice) p. 18
M. Rosenzweig (Włocławek) p. 22
J. Heyman (W-wa) p. 20
E. Schneidscher (Kołomyja) p. 17
I. Drimer i J. Munczek (Kołomyja) p. 17
A. Mazie (Wilno) p. 16
A. Süss (Bielsko) p 8
H. i I. Holde (Kołomyja) p. 22
Cz. Obtułowicz (Żywiec) p. 3 (6)
St. Niewęgłowski (Puhaczów) p. 19 (6)
J. Kędziorek (Kutno) p. 7 (6)
Zb. Popieluch (Kołomyja) p. 10 (6)

Krzyżyki przy nazwiskach oznaczają staranne wykonanie nadesłanych rozwiązań, a cyfra w nawiasie rozwiązanie z Nr. 6.

Z pism i książek.

Adam Mickiewicz. PISMA POETYCKIE. Przedmowa Tad. Piniego (?). Wydanie kompletne, ilustrowane. Nakładem księgarni J. Przeworskiego. Cena w ozdobnej oprawie złotych 10.

Nowe wydanie utworów wieszcza, fachowo opracowane i mimo ładnej szaty zewnętrznej dostępne dla każdego dzięki stosunkowo niskiej cenie.

Wyszedł Nr. 1. dwutygodnika ilustrowanego „START", Poznań, poświęconego popularyzacji lotnictwa. Na treść numeru składają się m. inn. artykuły: „Z szybowisk" (o lotnictwie bezsilnikowem), „Spóźniony żal", nowela, „Pierwszy lot — pierwsza kraksa", „W korkociągu", „Liljowce atmosfery", kronika i t. d. „Start" nie jest fachowem pismem lotniczem i wszystkie artykuły pisane są językiem zrozumiałym nawet dla laika. Numer zdobią liczne ilustracje.

T DZIEŃ RADJOWY Nr. 38(74). Najnowszy numer „Tygodnia Radjowego" zawiera szereg bardzo zajmujących artykułów oraz liczne ilustracje. Numer zdobi dwukolorowa okładka. Cena egz. 70 gr., abonament miesięczny 2 zł. Administracja: Poznań, Pl. Wolności 11. Już zwracaliśmy uwagę czytelników na to fachowe pismo, zasługujące ze wszech miar na poparcie i szerokie rozpowszechnienie.

Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne, prowadzone przez Wydział Społeczno-Wychowawczy Związku Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej (Warszawa, ul. Grażyny 13), w dniu 1 października rozpoczynają 3-ci rok szkolny t. j. 1928-29.

Jak bardzo się rozpowszechniła nauka drogą korespondencyjną — dowodem jest stale zwiększająca się frekwencja: w roku 1-ym (1926/27) zapisało się 233 osób, w 2-im (1927/28) 400 osób.

Faktem znamiennym jest również i to, że z Kursów zaczynają korzystać nie tylko osoby zatrudnione w ruchu spółdzielczym, lecz i osoby interesujące się ruchem (14 nauczycieli, 15 z pośród młodzieży szkolnej).

Program Kursów obejmował zarówno zagadnienia teoretyczne, jak i praktyczne ze spółdzielczości. Jeżeli chodzi o dobór przedmiotów, to przeważnie były brane przedmioty praktyczne: rachunkowość, towaroznawstwo, arytmetyka handlowa. Nie znaczy to bynajmniej, by uczestnicy niedoceniali znaczenia przedmiotów teoretycznych dotyczących spółdzielczości, lecz biorąc się do pracy nad sobą, obierali przedmioty narazie bezpośrednio dotyczące ich pracy zarobkowej i zawodowej, teoretyczne przedmioty pozostawiając na następne lata nauki,



S. Beller (Dolina). Za nadesłane prace serdecznie dziękujemy. Zwłaszcza spodobały nam się szarady: są dobrze ułożone i nader pomysłowe w układzie; będziemy je zamieszczali w miarę miejsca i... czasu. Kryptograf kryształowy nie odpowiada warunkom, jakie stawiać zwykliśmy zagadnieniom tego rodzaju, a zagadka literacka jest nieco za trudna.

Za nadesłane zagadki nagród nie wyznaczamy, zagadki te mogą nadsyłać wszyscy.

H. M. 105 (Kołomyja). Kwadrat liczbowy zamieszczamy, pozostałe zadania nie nadają się. Jeśli obiecane utworki z dziedziny orjentalistyki są napisane na podstawie wrażeń osobistych, chętnie je przejrzymy, a nadające się do druku zamieścimy.

S. Bruckner (Iwanie Puste). Krzyżówka z datami bardzo ładna i pomysłowa, lecz niestety za trudna. Prosimy o nadesłanie czegoś podobnego, lecz łatwiejszego do rozwiązania dla szerokich rzesz naszych młodych przyjaciół. Czekamy!

H. Kra... (Radom). Wierszy niestety wydrukować nie możemy. Bo.. zresztą niechaj Pan sam osądzi. „Chcę wiecznie słuchać *waszą fanfarę*"... czy tak? lub „stoją ponuro *ścierniałe* mury... ludzka *cień* mnoga". Brak również rytmu, który w niektórych strofach jest zbyt wypracowany, a w innych zupełnie wadliwy. Zresztą, są to tylko drobne usterki, które z czasem, mamy nadzieję, znikną, lecz chwilowo, po poprawieniu psują rym wiersza. Najładniejsze jest „Miasto", lecz szkoda, że takie krótkie, jakby niedokończone; chciałoby się czytać dalej, kontynuować zaczętą myśl, a tu... kropka.

K. Jędrzejkowski (Pilica). Serdecznie dziękujemy za miły liścik i słowa uznania. Cóż? Wszystko jedno, czy w Pilicy czy w Zawierciu nauka zawsze jednaka i zawsze w życiu potrzebna, a więc życzymy Ci powodzenia i zadowolenia w pracy szkolnej.

Łamigłówki nie wydrukujemy, gdyż już była w swoim czasie zamieszczona na łamach „Mojego Przyjaciela" Prosimy o nową!

„Bober" (Chrzanów). Logogryf chętnie— byśmy wydrukowali... gdyby... właśnie owo nieszczęsne gdyby... Jednostką natężenia elektrycznego jest *amper* a nie *omy*. Czy, gdyby Kolumb postawił owal a nie jajko, wrażenie byłoby równie piorunujące? Zdaje nam się, że *nie*; tak jak kawałek gałęzi niekoniecznie musi być kijem, a krata dajmy na to tapczanem lub innym przedmiotem więziennym, tak niestety owe kilka czerwonych liter i kresek niekoniecznie stanowią to, co zwykliśmy logogryfem nazywać! Lecz: *„niech żywi nie racą nadziei!*... niechaj będzie zachętą do dalszej bardziej owocnej pracy! Czekamy.

K. Pielatowski (Garkowo). Krótko i węzłowato: „... prosiłbym bardzo... żeby „Mój Przyjaciel" stał się tygodnikiem lub dwutygodnikiem". Ach jak to łatwo, „gdy myślą pragnienia w czyn zamienić chcemy". Na zakończenie cytujemy słowa Napoleona: „Do prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze, pieniądze.

St. Mucha (Rohatyn). Rebus dość dobry; prosimy o nadesłanie rozwiązania, gdyż inaczej nie zamieścimy. O jaki radjoodbiornik panu chodzi? W następnym numerze podamy prawdopodobnie szemat wzmacniacza lampowego lub odbiornika jednolampowego. Co do „Kącika dobrych znajomych", to czekamy na dalsze projekty z pańskiej strony.

H. Ponieski (Warszawa). Logogryfy i kwadrat magiczny dobre, szarady niezbyt udatne, jedną z nich po odpowiedniej przeróbce zamieścimy, a logogryfy ukażą się w przyszłości na łamach „Mojego Przyjaciela".

J. Jastrząb (Warszawa). Dziękujemy za przysłane krzyżówki. Wydrukujemy w najbliższym czasie.

Za.. mość. Wiersz dobry, niekiedy wprost świetny. Szkoda tylko, że nie wszystko nadaje się do umieszczenia w piśmie dla młodzieży. Naszem zdaniem nadawałoby się bardziej do gazety lub tygodnika. *„Globtrotera"* wydrukujemy w następnym numerze. Co do reszty — zobaczymy. Oczekujemy listu, któryby nas uprzedził o tem, czy wiersz pański ma być podpisany nazwiskiem czy też pseudonimem.

„Nelly" (Janów Białystocki). „Miła nasza słodka Nelly", rozpoczynam tak ja, „Twój Przyjaciel" i szepcę Ci cichutko do uszka, tak by tego inni nie usłyszeli, piękną bajkę o tem, jak to „za wielkiem światami, za ciemnemi lasami, za błękitnemi morzami, żył król"... Ale to chyba Cię już interesować nie będzie... przecież, chwalić Boga, piąta klasa, poważne zamiary, ustatkowanie się... A jednak, chcielibyśmy, abyś w chwili wymiany wspólnych myśli, odrzuciła tę upragnioną togę powagi i tak serdecznie jak potrafisz, zawsze do nas pisała. A że niema róży bez kolców muszę dodać na zakończenie: — wiersza nie wydrukujemy.

JUŻ WYSZEDŁ Z DRUKU

Samouczek języka Niemieckiego

nową praktyczną metodą ułożony przez H. ADLERA

Przy układaniu niniejszego samouczka autor zastosował metodę koncentryczną w połączeniu z inną metodą, zwaną obecnie naturalną albo organiczną. Wobec tego układ materjału w tej książce, jak również sam system nauczania, mają pewne cechy, różniące ją od innych podobnych podręczników.

Samouczków niemieckich nigdy jeszcze nie brakowało w obszernym zbiorze polskich podręczników. Mamy ich kilkanaście, poczynając od obszernego wielotomowego Langenszeidta i kończąc na rozmaitych kieszonkowych „rozmówkach" i Argusach. Żaden z nich jednak nie zdołał, jak dotychczas, zdobyć powszechnego uznania i znaleźć obszerniejszy krąg czytelników i adeptów. Przyczyną były organiczne wady, tkwiące zazwyczaj w samym systemie i budowie samouczka. Obszerny Langenszeidt wymaga od czytelnika tak wielkiego nakładu pracy i czasu, że studjować go może tylko uczeń, poświęcający się wyłącznie studjom nad jęz. niemieckim; takich zaś, oczywiście, jest niewielu. Niezliczone zaś małe „samouczki" i „rozmówki" podają zazwyczaj materjał bez żadnego systemu, żadnej nie poświęcając uwagi stronie metodycznej, wskutek czego uczeń po przestjudjowaniu podobnego „kursu" nie może czytać najprostszej książki niemieckiej, nie mówiąc już o prowadzeniu rozmowy w obcym języku.

Przy układaniu niniejszego samouczka, autor przedewszystkiem miał na myśli współczesnego czytelnika, który zazwyczaj ma niewiele wolnego czasu, chce jednak w najkrótszym terminie przyswoić sobie język niemiecki na tyle, aby **zrozumieć niemiecką książkę lub gazetę, i umieć w razie potrzeby prowadzić w obcym języku zwykła rozmowę.** W tym celu autor obrał t. zw. **„metodę koncentryczną"**, polegającą na tem, że uczeń odrazu, w kilku lekcjach, otrzymuje pewne „minimum" wiadomości, prowadząc w ten sposób od łatwiejszego ku trudnemu; od materjału już przyswojonego — do nowego i nieznanego. W ten sposób, przyswajanie nowego materjału odbywa się bez zbytnich trudności, prawie niepostrzeżenie; rozwinięcie zaś najrozmaitszych prawideł z kilku zasad, wytkniętych od samego początku, zapoznaje ucznia z logiczną budową i „duchem" języka niemieckiego. Co do **rozmówek niemieckich**, dodanych na końcu książki, ułożone one zostały w ten sposób, że prócz materjału do biegłej rozmowy na rozmaite tematy, zawierają szereg t. zw. **germanizmów**, czyli zwrotów, nie dających się tłumaczyć dosłownie na polski, niezbędnych jednak dla głębszego zaznajomienia się z językiem niemieckim. **Dołączone do książki wypisy z najznakomitszych autorów niemieckich, specjalnie opracowane i zaopatrzone wskazówkami i słownikiem**, czynią z naszego samouczka wykończoną całość — przystępny dla każdego, praktyczny i systematyczny kurs języka niemieckiego.

Cena zł. 4.50.

WYDAWNICTWO
„POMOC SZKOLNA" H. WAJNERA
WARSZAWA, BIELAŃSKA 5.

Almanach „Mój Przyjaciel”

rok 1928 (pierwsze półrocze)

ZAWIERA

Tematy chwili.

Nowele i feljetony.

Artykuły popularno-naukowe.

Awiatyka.

Sport.

Teatr i kino.

Podróże i przygody.

To i owo. Ze świata.

Artykuły okolicznościowe.

Kącik dla dzieci.

Ilustracje i ryciny.

Portrety.

Ze świata,

Technika.

Sport.

Cena w opr. zwykłej zł. 4.—

„ w „ ozdobnej „ 5.—

Odbito w drukarni „GRAFJA” Warszawa.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

TREŚĆ NUMERU 9—10:

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL":

Prenumerata roczna zł. 6.60, półroczna — 3.30, — kwartalna. 1.65, — miesięczna —.60

Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.

Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str.—150 zł., ½ str.—80 zł., ¼ str.—45 zł. ⅛—25 zł. na okładce cała str.—200 zł., ½ str.—110 zł., ¼—60 zł., ⅛—35 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.

Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera

DODATKI BEZPŁATNE: katalog wyd. „Pomoc Szkolna" H. Wajnera i prospekt kalendarza „Mój Przyjaciel".